

Dziś w numerze: Konfrontacje • Wołanie z dna • Z dziennika Lorda Morana • Zwykła historia • Dwa nurty • Czy Beatlesi noszą peruki? • Wiersze • Recenzje • Felietony • Polonica

odgłosy



Nr 21 (383)
29. V. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX

ANDRZEJ MAKOWIECKI



CZAS NA AUTOSTOP 1966!

RAPORT z Budapesztu

Prawobrzeżna, górzysta Buda i lewobrzeżny Peszt, rozłożony szeroko na nizinach.

Były to niegdyś odrębne miasta z barierą na Dunaju. Potem, w 1872 roku, powstała z tego dzisiejsza stolica Hungarii — organizm wielki, malowniczy, pełen plastycznych spięć i kontrastów.

Buda tak się ma do Pesztu, jak Praga nad Wisłą do Warszawy. Dwa różne obszary obyczajów, dwa odcienie dialektyczne, dwie mody i tradycje rozdzielone wodą i spiętę mostami.

Gdyby Buda miała walczyć z Pesztem, no, przypuśćmy... na boksy albo w ping-ponga — terenem neutralnym byłaby WySPA Małgorzaty, leżąca na Dunaju, w centrum miasta. Tu spotykają się także kochankowie z obu dzielnic; tu, w dni świąteczne, przy pogodzie, przewala się cała Budapeszt, setki tysięcy ludzi spragnionych wody, słońca i emocji...

1.

W niedzielę, ósmego maja, już wczesnym przedpołudniem zaczęła się inwazja. Rowery, auta, motory wszelkiej maści i kalibru, małe metro — jak z bajki, jak zabawka dziecięca; pamiętające czasy Franciszka Józefa, wagoniki polatane, stare, lewostronny kierunek jazdy, przystaneczki i po drodze wykładane kostki, filigranowe, niskie, jak piwnice, upstrzone gdzieniegdzie reklamą — wszystko to wyrzucało na wyspę, niby karter, mrowie ludzkie opętane pogodą. — Do basenów krytych i otwartych, na plaże, boiska i trawę. Do szaleńczych lunaparków i źródeł miłości, gdzie podstarzałe turystki z wszystkich krajów świata czerpią pełnymi szklankami wodę gorącą, o smaku, co kto woli: jajek podgnitych lub siarki.

Fama głosi, że pijąc z tego źródła, trzeba patrzeć na pragnienie swego serca, na kobietę, której by się chciało lub mężczyznę. Jeśli ten warunek jest spełniony, wtedy wszystko gra i nie ma siły... Słyszę dialog korpulentnych Polek:

- Piłaś?
- Piłam.
- Na kogo spojrziałaś?
- Na Zeta.

Dalszy ciąg na str. 4

MARIAN PIECHAL

I OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL POEZJI

Wśród wielorakich imprez kulturalnych, jakie odbywają się corocznie na terenie całego kraju

I Ogólnopolski Festiwal Poezji w Łodzi wyróżnia się swoim szczególnym charakterem. To, że od-

bywa się akurat w okresie obchodów Tysiąclecia, nie dodaje mu wprawdzie żadnej wyróżniającej cechy, ale też i nie jest bez znaczenia dla jego charakteru.

Po raz pierwszy bowiem można będzie na nim dokonać logicznie okazjonalnego zobrazowania dotychczasowych zdobyczy poetyckich i przeglądu nowych wyzłań tych sfer pod tym względem perspektywnie możliwości. Program Festiwalu pomyśla-

ny został w ten sposób, aby właśnie przede wszystkim ta ki sens jego treści wydobyc i uwyraźnić.

A na treść I Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w Łodzi składają się jak zwykle w tego rodzaju imprezach referaty i konkursy. Trzy referaty i trzy konkursy. Przy czym charakter referatów od powiada charakterowi konkursów. I jest tak, że właśnie te konkursy są zasadniczą sprawą łódzkiego Festiwalu i na dają mu ten wyróżniający charakter. Można powiedzieć, że jest to Festiwal trójkonkursowy po raz pierwszy dający możliwość wzięcia w

nim udziału każdemu z piszących wiersze — zarówno amatorowi pięknej sztuki poezjowania, jak i poecie już dojrzałemu bez względu na stopień zaawansowania w jego praktyce twórczej.

Co jest cechą wspólną tych wszystkich konkursów? Ze są dostępne przede wszystkim dla amatorów i debiutantów. Ci są szczególnie uprzywilejowani. Bo dla poetów zaawansowanych są dostępne tylko dwa z tych konkursów: A i C. Zaś amatorzy i debiutanci mają jeszcze swój odrębny konkurs B, zastrzeżony wyłącznie dla nich, co nie znaczy, jakoby miała być wo-

bec nich stosowana jakaś wyjątkowa taryfa wymagań i ocen. Miara będzie nieco inna, ale chyba nie ulgowa.

W ocenie utworów nadesłanych na konkurs A i C stosowana będzie miara ich dojrzałości artystycznej, a w ocenie utworów nadesłanych na konkurs B miara ich możliwości. Rzecz zrozumiała, że we wszystkich trzech konkursach organizatorzy Festiwalu zastrzegli sobie obowiązek

Dalszy ciąg
na str. 7



„Chcesz uniknąć wysyłki do Wietnamu? Pewna firma w Massachusetts, pracująca dla wojska, potrzebuje kilkunastu pracowników. Gwarantujemy wypracowanie z wojska”.

Takiej treści ogłoszenia - informują agencje zachodnie - ukazują się od kilku dni w prasie amerykańskiej, wychodzącej w językach: polskim, włoskim, hiszpańskim... Te same agencje podają, że w wielkich miastach uniwersyteckich rozwija się od wielu miesięcy zupełnie nowa gałąź: biura adwokackie, specjalizujące się w wynajmowaniu pretekstów w celu uniknięcia poboru.

Oto symptomatyczny przejaw reakcji społeczeństwa amerykańskiego na wojnę w Wietnamie, społeczeństwa, które jej skutki coraz dotkliwiej odczuwa „na własnej skórze”. W ostatnim okresie - po decyzjach gen. Ky rozprawienia się z opozycyjną ludnością Da Nang i silną kontrą buddystów, kiedy to raz jeszcze okazało się, że sprzymierzeniec Stanów Zjednoczonych stracił zaufanie we własnym kraju - sytuacja znacznie się skomplikowała.

Podczas gdy administracja Johnsona ciągle ma nadzieję na jakiegoś zatańczenie nabrzmiewającego konfliktu między reżimem Ky a buddystami - w społeczeństwie amerykańskim wzrasta przekonanie o bezsensie wojny.

Nawet wśród polityków jest uczucie frustracji. Poparcie dla wietnamskiej polityki lub żądanie szybszej eskalacji działań wyraża zaledwie 15 senatorów, 19 natomiast zgłasza do niej poważne zastrzeżenia, a aż 18 zajmuje stanowisko kategorycznie negatywne. Układ sił jest więc dla Johnsona niekorzystny i stąd chyba nie mający precedensu jego atak na wewnętrznych przeciwników, na który pozwolił sobie w przemówieniu w Chicago.

(Stwierdził tam m. in.: „Nie sądzę, aby żołnierze, którzy walczą za nas w Wietnamie byli zdania, iż możemy sobie pozwolić na luksus wzajemnego zwalczania się tutaj w kraju”).

Krytyka polityczna w Stanach Zjednoczonych zawstydza nawet najmniejsi sojusznicy Waszyngtonu - Niemcy zachodnie. W „Neuerhein Ruhr Zeitung” czytamy np:

„Cala odpowiedzialność za Wietnam południowy ciąży obecnie na Amerykanach. Sytuacja Johnsona jest nie do pozazdroszczenia... Bez zmiany dotychczasowego stanowiska Stany Zje-

dnoczone nie mają w Wietnamie wyjścia, mogącego rokować powodzenie”.
Bez zmiany stanowiska... Nie jednak nie zapowiada, że ta rewizja nastąpi. Wręcz odwrotnie - właśnie przed kilku dniami Rusk potwierdził utrzymanie obecnego kursu, co z kolei spowodowało wystąpienie jednej z poczytnych gazet amerykańskich z żądaniem dymisji sekretarza stanu.

Nie przeceniając znaczenia „sił ośrodkowych” w USA mamy jednak powody sądzić, że w najbliższym czasie będą się one powiększać. W Wietnamie południowym rozpała się bowiem rozgrywka wewnętrzna, a nadchodząca pora deszczowa z pewnością zmniejszy i tak wiele wątpliwie „sukcesy” militarne już ponad 275-tygodziennej armii amerykańskiej.

Jeszcze nie przebrzmiały echa wizyty w Paryżu delegacji Sejmu PRL i rozmów Zenona Kliszki z członkami przywódcami francuskimi, a już prasa europejska z nową siłą komentuje trwający od ub. roku dialog polsko - francuski. Tym razem z powodu przyjazdu do Warszawy ministra spraw zagranicznych Francji - Couve de Murville'a.

Gość odbył szereg poważnych rozmów politycznych - m. in. z Władysławem Gomułką - oraz podpisał w imieniu rządu francuskiego umowę kulturalną i o współpracy naukowo - technicznej, o czym obszernie informowała prasa odczołniona.

Zainteresowanie opinii europejskiej wizytą Couve de Murville'a znalazło swój wyraz na łamach dzienników zagranicznych. Jeśli pisma francuskie zwracają uwagę przede wszystkim na „zbieżność, podobieństwo lub nawet identyczność” poglądów obu stron na wiele podstawowych zagadnień z zakresu międzynarodowego oraz podkreślają „niezwykłą serdeczność i gorące przyjęcie”, a prasa angielska traktuje wizytę jako „nowy element strategii de Gaulle'a, mającej na celu stworzenie przeciwwagi dla amerykańskich wpływów w Europie”, o tyle zachodniemieckie - niepokoi się, że doniesienia o rozmowach warszawskich „brzmiały zbyt optymistycznie”.

Oczywiście, Bonn z uwagą śledzi, jak przebiega w tym dialogu problem niemiecki. Dla rządu NRF zmartwieniem jest bowiem każde rozpatrywanie tego zagadnienia w oparciu o realia - takie, jak chociażby granica na Odrze i Nysie czy też torowanie drogi odprężeniu międzynarodowemu.

W tym kontekście trzeba też spojrzeć na niemałą zbieżność w czasie z warszawską wizytą Couve de Murville'a informację radia zachodniemieckiego, z której wynika, że „kanclerz Erhard zwrócił się do prezydenta de Gaulle'a z prośbą o ustąpienie na rzecz Niemiec, podczas zbliżającej się wizyty prezydenta w Moskwie”.

Wstawiennictwo - o co? O dostęp do broni nuklearnej, „zjednoczenie” Niemiec według wzorów bolskich i rewizję granic? Trzeba mieć tupet nie lada, by takie „prośby” kierować właśnie pod adresem de Gaulle'a.

W. SLAWSKI

TKRONIKA TYGODNIA

● Dziennik New York Post wysunął żądanie ustąpienia sekretarza stanu Rusk z zajmowanego stanowiska, w przeciwnym razie „Departament Stanu nadal będzie się potykał. Biały Dom nadal będzie cierpieć na brak kierowniczych wskazówek, jakich potrzebuje, a rząd Stanów Zjednoczonych nadal zajmować się będzie polityką zagraniczną w sposób niedbały”.

● Leningradzkie czasopismo literackie „Nawa” ogłosiło wspomnienia o Michale Tuchaczewskim, pióra L. Rakowskiego. Autor pisze m. in. o Stalinie, kiedy walczył on wspólnie z marszałkiem Tuchaczewskim w okresie wojny

problemem budowy tunelu pod Kanalem La Manche o-publikowała swój pierwszy raport. Po zaznajomieniu się z jego treścią przedstawiciel angielskiego towarzystwa eksploatacji dróg oświadczył, iż budowa tunelu okazuje się inwestycją bardzo drogą, sam zaś tunel stanie się anachronizmem jeszcze na długo przed jego uruchomieniem.

● Prokurator Republiki Jugosłowiańskiej F. Hocerar oświadczył, że sprawa „istnienia kary śmierci” w Jugosławii winna być ponownie rozważona. Jugosławia jako kraj socjalistyczny - powiedział prokurator - jest w zasadzie przeciwna karze śmierci”.

● NRF przeżywa drugi „cud gospodarczy”. Pierwszy trwał od 1950 roku do końca lat pięćdziesiątych. W latach 1960-63 obserwowano poważne obniżenie tempa wzrostu produkcji. Ponowne ożywienie nastąpiło w 1964 roku. Roczny przyrost produkcji w 1965 roku wyniósł około 7 proc. Z początkiem br. w Niemczech zachodnich zatrudnionych było półtora miliona robotników zagranicznych.

● Amerykański sekretarz obrony McNamara stwierdził, iż w ciągu ostatnich ośmiu lat doszło w świecie do 164 rewolucji, czy innych przejawów niezadowolonych społeczeństw, które spowodowały międzynarodowe trudności. McNamara zaznaczył równocześnie, że 27 krajów bogatych świata liczących zaledwie 25 proc. ludności, zamieszkującej kulkę ziemska posiada 75 proc. bogactw światowych.

Prawdziwa satyra płynie pod prąd.
GUNTHER LUDERS
aktor



domowej. Stalin, relacjonuje autor wspomnień, lubił, aby traktowano go jako wojskowego. „Nie będąc żołnierzem, lubił, aby mu salutowano. Nie uśmiechał się wtedy, lecz przykładał dłoń do daszka”. Wolny czas w pociągu pancernym dowodziła frontu spędzał na lekturze. Charakteryzując tryb życia Stalina Rakowski pisze, że dbał on bardzo o zachowanie czystości i schludnego wyglądu, chociaż było to utrudnione ze względu na niedowład lewej ręki.

● Związkowa Izba Gospodarcza Zgromadzenia Narodowego Jugosławii zatwierdziła projekt pięcioletniego planu rozwoju gospodarczego, który przewiduje m. in. wzrost stopy życiowej o 45 proc. i zwiększenie produkcji przemysłowej o 70 proc.

● Londyński Financial Times pisze, iż w roku 1966 Francja odbierze Niemcom zachodnim przywilej posiadania największych rezerw walutowych na świecie i zajmie pod tym względem drugie miejsce.

● Mieszana anglo - francuska komisja zajmująca się

Zachodni rzeczoznawcy wyrażają przekonanie, iż dobre perspektywy plonów ozi- meli pszenicy w Związku Radzieckim pozwolą temu krajowi na uniknięcie poważniejszych zakupów zbóż na Zachodzie.

● Włoski dziennik komunistyczny „Unita” o tzw. „wielkiej polemice”, jaka toczy się w Chinach: Dotarli do nas pewne materiały dotyczące polemiki politycznej, która toczy się obecnie w Pekinie i która wywołała tyle szumu w świecie. Umożliwił one wrażliwość, że ma się do czynienia z ostrym starciem między różnymi tendencjami. Sprawa nadal natomiast trudna, mimo zapoznania się z dokumentami, które zostały opublikowane przez komunistów chińskich, jest ustalenie, na czym właściwie polegają koncepcje, które się ścierają”.

● Według opinii Time'u rząd Stanów Zjednoczonych beznadziejnie przegrywa wojnę z „papierową inflacją”. Jak wykazało dochodzenie podkomisji Kongresu do spraw statystyki, corocznie rząd przygotowuje nie mniej niż 12 różnych ankiet, które zobowiązany jest wypełnić każdy mieszkaniec kraju. Koszty przygotowania, rozprawdzenia, ponownego zebrania i klasyfikacji tych ankiet wynoszą 7 miliardów dolarów rocznie.

● „Berliner Zeitung”: Możemy określić jako jeden z naszych największych sukcesów gospodarczych i socjalnych, że w NRD udało nam się utrzymać stabilizację cen i nie dopuścić do żadnych ukrytych podwyżek... W NRD nie było żadnych ukrytych podwyżek cen, nie ma i nie będzie”.

● Radziecki dziennik „Pravda” określił anglo-amerykańską wersję filmową powieści Borysa Pasternaka „Doktor Żiwago” zgłoszoną na festiwal w Cannes jako łzawy melodramat, który jest zbyt nudny, aby uzyskać większy aplauz. Dziennik pisze, iż film jest „romansem udanych emocji” i ma charakter antyradziecki”.

Znam się zorientujemy życie nas już wytłumuje.
GRAHAM GREENE

● Były premier Kanady, przywódca konserwatystów, John Diefenbaker wyraził pogląd, że zarówno Stany Zjednoczone jak i Kanada powinny być jeszcze 15 lat temu uznać ChRL, a więc w tym samym okresie, kiedy uczyniła to W. Brytania, to jest na przedmiecie lat 1950-51.

● W Związku Radzieckim odbywa się obecnie proces stopniowego przestawiania przedsiębiorstw przemysłowych na 5-dniowy tydzień roboczy, przy dwóch dniach wolnych od pracy i utrzymaniu dotychczasowej długości czasu roboczego w ciągu tygodnia. Według nowej zasady pracuje już 500 przedsiębiorstw w 14 gałęziach przemysłu. Analiza naukowo-badawczego instytutu pracy wykazała, „że przy odpowiednim przygotowaniu wskaźniki produkcyjne po zastosowaniu nowego harmonogramu pracy znacznie się polepszyły”. Stwierdzono nadto, iż zmalała wśród załóg ilość fizjologów. Według opinii fizjologów 5-dniowy tydzień pracy okazał się bardziej racjonalny.

● Wojskowy reżim ghański wykazuje oznaki zaniepokojenia i zdenerwowania wobec nieskutecznej realizacji programu ekonomicznego Ghanu. W ciągu 3 miesięcy, jakie upłynęły od chwili przejścia władzy przez wojskowych, nie zaszły tam ani bardziej radykalne zmiany, ani nie przygotowano gruntu do ożywienia życia politycznego kraju”.

● Algierski minister spraw zagranicznych Bouteflika pogratulował ambasadorowi ChRL sukcesu w dokonaniu nowej eksplozji jądrowej przez Chiny Ludowe, wyrażając zadowolenie z faktu, iż Chiny jako pierwszy kraj trzeciego świata opanowały energię atomową.

Człowiek nie jest już więcej jedyną myślącą istotą na ziemi. Konkuruje z nim roboty.
JOHN DIEBOLD

● Propozycja przewodniczącego większości demokratycznej w Senacie USA M. Mansfielda wycofania wojsk USA z Europy z pozostawieniem na starym kontynencie jedynie symbolicznego oddziału, zyskała poparcie kilku członków Senackiej Komisji Sił Zbrojnych. Jeden z senatorów motywowal swe poparcie w sposób następujący: my dotychczas naszymi zobowiązaniami (Europa?) tego nie robimy. Sądząc, że powinniśmy ostrzeżać przemawiać do tych facetów. Inny senator: „Nam wydaje się, że próbujemy utrzymać pokój w świecie, a ci facetki bardzo chętnie się na to godzą, zbijając dolary przy każdej okazji, jaka im się nadarzy”.

● Wojskowe władze indonezyjskie rozwiązały pałacową gwardię prezydencką i, jak stwierdzają obserwatorzy, coraz żywiej interesują się prywatnym życiem prezydenta Sukarno. Jedno z pism murzańskich wychodzących w Djakarcie przejawia ostatnio żywe zainteresowanie poglądami Sukarno dotyczącymi kobiet. „Wiemy, pisał dziennik, że ojciec (Sukarno) lubi piękne rzeczy, ale nie możemy się zgodzić, że mówi o nich zbyt szczerze... Wyrażamy ubolewanie i rozczarowanie stosunkami między ojcem (Sukarno) i kobietami”.

W SPRAWIE KOMPLEKSU BELFRA

Najpierw uroczyste zapewnienie: nie piszę felietonu przeciw nauczycielom, których - z grubsza rzecz biorąc - szanujemy. Piszę przeciw belfrom, a więc niekoniecznie ludziom ze szkoły. Belfry to ludzie różnych zawodów - starsze ciocie, kosztowne wychowawczynie, urzędnicy, młynarze, a także dziennikarze, czy publicyści, belfry to określony stosunek do świata bez względu na uprawiany etatowy zawód. Belfrom nie się nie podobna, wybrzydzą po prostu w imię zdrowia moralnego pokoleń, dla dobra narodu i Rzeczypospolitej, zawsze szlachetnie, zawsze zafroskami zbawiające ojczyznę.

W szałach belfra wystąpił przed niedawnym czasem Kazimierz Dębicki na łamach „Kultury”. („Judym za oceanu”). Oczywiście pięknie wystrójony w szatki naszego narodowego belfra, oczywiście grzmi na te, wiece państwo, miazmaty, które do nas przenikają ze zgnitego Zachodu przy pomocy „środków masowego przekazu”, w tym wypadku telewizji. Przede wszystkim przekłonał przez granice, cenzurę i tak dalej, wyjątkowo perfidny facet - doktor Kilder i jego protektor, doktor Gillespie. Straciłmy wrodzoną nam czujność, jakże dobrze, że belfer ją zachował. No, bo i cóż nam ten Kilder proponuje? Najpierw system protekcyjny. Młody lekarz strzelał byki, a dyrektor szpitala go kryje. Nasz belfer przyznaje, że taki system znany jest i w Polsce, lecz przeciw gdyby zakazać Kildera w Polsce, to może by tysiące naszych rodzimych dyrektorów, kierowników, nacelników zrezygnowało ze swoich pupilków? Tak rozumuje belfer. A dalej drażni go życie osobiste Kildera, to, że nie chce on ujawnić w życiu praktycznym swojej plei, nawet na dziewczynki taki Kilder nie chodzi. Co to jest? Jak tak można? To ma być człowiek? Co też nasze panie w nim widzą, jak by miały, w razie czego, pociechę z Kildera? Żadnej, i to boli naszego belfra, dla którego jedynie ludzie sprawdzeni seksualnie mogą być bohaterami filmowych seriali. Kilder jest także mężczyzną, daje szansę nierobowi i łobuzowi, żądający chleba chce w aniołów przerobić. Typowo zachodnia moralność, co? Belfer doskonale wie, belfer jest czujny, belfer przypomina nam, że nie wolno wychowywać łobuzów. Łobuz jest łobuzem i koniec. Jeżeli tego nie rozumiemy, będziemy musieli wychowywać, czy chociażby tylko próbować wychowywać ludzi błędnych i grzesznych, będziemy musieli wie-

rzyć w człowieka, co jak wiadomo, nie jest zgodne z naszymi podstawowymi ideałami, prawda?

Belfer, rzecz prosta, udziela także znakomitych rad, cudownie łatwych do zrealizowania. U belfra błędy są skomplikowane, a środki naprawy prościutkie. Jak naprawić Kildera?... „gdym się może raz dobrze upił i poszedł na jakąś rozróbe, stałby się bardziej ludzki i prawdziwy... Niechże pozna wreszcie dziewczynę, z którą trochę po-będzie”.

Tako rzece nasz belfer - woda, dziewczyna, rozróba i mamy nareszcie człowieka, którego belfer gotów naszym telewizjom polecić. Dlaczego wobec tego w tym samym felietonie odsądza od cześci i honoru „Bonanzę” i „Świętego”, którzy reprezentują właśnie ów świat porający się po buziach? Przecież tam właśnie toczy się walka dobrego ze złem plus pranie po buzi.

Nasze krajowe belfry, tak bardzo strzegące naród przed obrzydliwym, mieszańskim światem Zachodu, przed posiadaczami koni, które mówią, posiadają wszelkie wyjątkowo osobliwy wzrok. Znaczy - doskonale widzą, co się produkuje made in USA, a zupełnie nie dostrzegają produkcji made in Poland. No, bo przecież taka produkcja istnieje w skali równie masowej. Trzeba odważnie napisać, że nasz kapitan Sowa, to - niesłaby - produkt wpływów rozmaitych Świętych, importowanych za nasze ciężko wypracowane złołówki. Mamy doskonałych majstrów od filmów seryjnych, zaangażowanych społecznie, ideowych, nie oglądających się za pieniądzem, tylko te wpływy, te wpływy, nie kasowe, oczywiście, tylko z Zachodu. Trzeba też odważnie przeanalizować krajową powieść odcinkową. Belfer siedzi przeciw w stolicy, belfer wszystko widzi, pewnie więc śledzi jak nam się po rozmaitych ekspresach, echach i dziennikach, snują upiory, leżą dolary, szmuglują złoto, zawiązują gangi, gwałcą dziewczęta, szantażują, jeżdżą po nocach czarnymi limuzynami ze sfalszowanymi numerami i piją i rozrabiają. Cudze ganiecie, swego nie znacie, towarzyszu belfrze!

niebezpieczeństwo

KONFRONTACJE

Trzydzieści lat temu, w 1936 roku, Instytut Gospodarstwa Społecznego, którym kierował wybitny działacz społeczny, publicysta, socjolog Ludwik Krzywicki, wydał drugą serię „Pamiętników chłopów”. Zawierała ona prace, jakie nadesłano na konkurs rozpisany przez IGS w 1933 roku. Pokłosie konkursu okazało się nadszalenie obfite. Nadeszło 498 prac. Z tej liczby 51 prac opublikowano w 1935 roku, 10 zaś w 1936. Obie publikacje zyskały olbrzymi rozgłos w społeczeństwie. W 1937 roku „Wiadomości Literackie” przyznały drugiej serii „Pamiętników chłopów” nagrodę literacką.

Pamiętniki chłopów były wstrząsającą lekturą. Ukazywały ogrom nędzy społecznej, sytuację ślepego zaułka, w jakim znalazła się wielomilionowa rzesza chłopów, która przecież u zarania niepodległości Polski wzięła nadzieję na lepszy los wsi i powstającym państwem. Rozczarowaniu z niezrealizowanych nadziei na możliwość uzyskania pracy w wolnej ojczyźnie, prawa do oświaty, kultury, opieki zdrowotnej towarzyszyły obywatelska troska autorów — chłopów, o losy kraju, o jego przyszłość. Pamiętniki chłopów oskarżają władze Polski międzywojennej, są manifestacją niezadowolenia wsi pracującej z ówczesnych stosunków, dokumentem buntu i dojrzenia świadomości społecznej chłopów.

Kiedy dzisiaj wertuje się pozostałe już kartki pamiętników, trudno się oprzeć wrażeniu, że obraz życia tam zawarte to egzotyka, smutna, bolesna, miejscami tragiczna, lecz już odległa o całą epokę, epokę przeobrażeń, które swym rozmiarem wydużyły dystans dzielący nas od tamtego czasu. Dziś pamiętniki chłopów posiadają jedynie walor historyczny. Ta dokumentarna proza, soczysta, miejscami sucha, relacjonująca trudy życia, cierpienia, przewidywanie jednostek, jak i środowisk wiejskich, ukazuje w konfrontacji z dniem dzisiejszym skalę zmian jakie nastąpiły na wsi w okresie władzy ludowej. Mówi więcej aniżeli kolumny cvr. dziesiątki artykułów, porównań. W pamiętnikach bowiem zawarto sumę doświadczenia chłopskiego i konfrontację je można jedynie z doświadczeniem współczesnego pokolenia wsi.

Więc, zwłaszcza młode pokolenie chłopów, takiej konfrontacji dokonuje, świadome swej pozycji społecznej, roli jaką ma do odegrania w państwie ludowym.

„W pamiętnikach młodego pokolenia wsi Polski Ludowej — pisze w przedmowie do wydanego w 1966 roku tomu pamiętników „W poszukiwaniu drogi” — prof. Józef Chasiński — występuje młodzież sprzymierzona z wielką rewolucją społeczną. (...) Ta młodzież i nowi rodzacy się świat Polski Ludowej to jedno. To młodzież uczestniczy w tworzeniu się nowej Polski i nowego świata. Poczucie tego uczestnictwa jest jej istotnym elementem. To jest młodzież w młodym świecie, rzeczywistości społecznej, z której opadła dawna skorupa, rzeczywistości, która nabiera nowego kształtu”.

W naszej wiosce od zarania wolności istniało Koło Młodzieży, które z wielką brawurą prowadziło swą pracę organizacyjną. Koło to pracowało bez przerwy do r. 1931. Organizacja była świetnie postawiona. Żywotność idei wielka. Komedijki, rocznice, opłatki — wszystko to przyczyniało się do wspólności wewnętrznej wsi i podnosiło ją moralnie.

Lecz przyszły owe egoistyczne dążenia i zaczęły podkopywać dawna organizacja, a starając się założyć Związek Młodzieży Ludowej.

Dopóty chodzili, dopóty deptali, aż wreszcie zrobili swoje. Zakończyli Koło Związku Młodzieży Ludowej. Z wielkim entuzjazmem hasła i idei przystąpili do budowania „Polski Mocarstwowej”. Poza ich Boże nad ta ich mocarstwowa robota! Można sobie wyobrazić jej się i wartość większości skoro do kilku miesięcy runęła ta ich „mocarstwowość”.

Młodzież przejawiająca dużą żywotność organizacyjną i mająca dość obszerną tradycję pracy wspólnej — runęła dlatego, że dostała się w złą atmosferę.

I znów przyszedł „patron” ze swym stowarzyszeniem. Też budować Wielką Polskę, pod sztandarem miłości Chrystusa i Ojczyzny!!! A z jaką on nienawiścią zwalczał Koło Młodzieży Wiejskiej! Jak podle pisał na nie z ambony! Wzywając je do rozmaitych „masonów, komunistów, dzieci szatańskich”. Rzucił błotem na ludzi, którzy mogli być przykładem dla „druhów” nawet. To tylko mieli wadę, iż społecznie i kulturalnie poszli swym własnym szlakiem, bez uciekania się pod księża sutanne. Za to, że oni szli swymi własnymi drogami, oparli o wartości, które im były najbliższe i z ich życia poczęte. Że celem ich było usamodzielnienie się w życiu i przygotowanie się do walki o swój chłopski byt — nie tylko przez modlitwę. Że nie oparli swej doczesności na wieczności pośmiertnej, lecz właśnie wieczność oparli na doczesności swego życia. Za to ten pokorny sługa boży wyskakiwał ze swej słodkiej natury baranka i kasal jak wilk!!!

Nie myślcie bym pisał to powodowany jakąś partyjną nienawiścią. I to co wyżej powiedziałem, wypowiedziałem pod poczuciem zła, jakie się szerzy wśród wsi, która już zaczęła iść zdrowym krokiem naprzód. I na Boga, na człowieczeństwo wasze zaklinam was, nie niszczyć tego, co ma odróżnić wsi! Nie przedłużajcie jej niewolniczej agonii w jakiej chłop leżał od wieków.

Jeżeli nie umiecie pracować dla wsi, nie przychodźcie do niej w imię interesów własnych. I jeżeli nie możecie się wczuć w rzeczywiste potrzeby wsi, pozwólcie swobodnie rozwijać się organizacjom poczętym w treści naturalnego życia wiejskiej gromady. A przyszłość będzie was błogosławić.

Bo chłop ma w swym charakterze cechy nadzwyczaj dodatnie. Pozwólcie mu tylko wyrobić się — ukształtować swój umysł, a rozwinie on w całej pełni swe wartości

człowieka natury. Przyjrzyjcie mu się, jak on od świtu do nocy zabiega. Rzucenie na te milionowe masy spojrzenie, gdy o wiosnie lub słotną jesienią kroczy przez pole, uprawiając je w pocie czoła. Oceńcie te mrowiące prace i wydajcie sami opinie o tych, którzy ją wykonują.

Pod względem ekonomicznym chłop ma wysoką wartość. Rzadko się zdarza, by był marnotrawny. Kocha swój warsztat rolny a z ukończeniem tego wynika gorące oddanie się pracy w nim.

Gdybyście mogli wejść w umysł chłopca, z jakim on poezją myśli o swym gospodarstwie. Z jakim rozmachem i zacietością wykonuje swą pracę. A przecież z trudu tego wyrasta dobro państwa. Oszczędność u chłopów, jest prawie ogólna. Spotykałem dużo takich, którzy żalują rozmięknienia pleńdzy na jakieś mniej ważne potrzeby, chcąc je zaoszczędzić. A przecież oszczędność i pracowitość to podstawy dobrobytu społeczeństwa. Moralnie też chłop nie jest tak zły jak go malują.

S a nby to po niektórych „mianach” tzw. Ośrodki zdrowia. Sledza tam dobrze płatni doktorzy i higienistki, ale na co to się chłopom zdało? Czyż chłopca stać płacić dwa zł za wizytę, a potem kilka złotych za lekarstwo. Wizytują też nby co jakiś czas dzieci szkolne i przysyłają kartki rodzicom, że dziecko źle odżywiane, ale czyż ta matka, ma to dziecko czem odżywić? Czy wejrze w to, że ta matka, gdyby miała, to na pewno by sama nie zjadła. I tak co tylko ma, to od da dzieckom, a sama, powtarzam, ciągle chodzi głodna. A już o chorobach kobiet na wsi to nie ma co mówić, nie wiem czy na sto znalazłby jedną zdrową, są to po prostu chodzące wychudłe widma. Dość spojrzeć w niedzielę w pierwszym lepszym kościele wiejskim, a każdy może się przekonać. Kleczą istoty o zapadłych policzkach i przygasłych oczach, to są właśnie gospodynie wiejskie. Śmierć też nie oszczędza i zbiera obfite żniwo. Gruźlica, rak i inne choroby, o których dawniej na wsi nie słyszano, dzisiaj na porządku dziennym. Ida do grobu męczennice losu, ofiary obywatelstwa, aby zostawić gromadkę sierot, nad które nikt z nich nie potrafił się wahać. I jeżeli nie wierzą niektórzy i pomyśla, że może pisze nieprawdę, to niech się przejdą czy przejdą te panie, których mężowie za-

za małym tylko udziałem nie jest opłacana z gospodarstwa.

Najgorzej, że kształceniem dziecka w naszych warunkach nazywa się już posyłanie go do 6 oddziału szkoły powszechnej. Siedmiooddziałowe szkoły powszechne nie są, niestety, u nas powszechnymi, a posyłanie dziecka do odległej o 8 kilometrów szkoły, nastreca więcej trudności, niż kształcenie gimnazjalne przeciętnego mieszczanina. Brat, który obecnie kształci się na nauczyciela, po skończeniu w roku 1927 czterech oddziałów w miejscowej szkole, zaczął „kształcić się” w siedmiooddziałowej szkole powszechnej w Poddebicach. Przejście tych trzech oddziałów (tj. 5, 6 i 7) finansowo nie kosztowało tak wiele, bo chłopak początkowo chodził ze szkoły do babki, blisko Poddebic mieszkającej, a później, będąc większym, przychodził do domu.

Takie „kształcenie” jednak wymaga nie tylko dobrej chęci rodziców, bragnących dać wykształcenie dziecku i samej zdolności ucznia do nauki, ale także jego bardzo silnej woli. Chodzenie codziennie osiem kilometrów w te i z powrotem, w mroź, śnieg czy bioto, nie jest wcale do pozazdroszczenia. Gdy nauczyciel śpi jeszcze — uczeń wstaje o godzinie 5, by ubrać się przedko, najęść i o szóstej wychodzić w ciemną jesienią czy zimową noc z teczką i kijem dla opędzenia od niepowiązanych jeszcze psów. A gdy nauczyciel o siódmej wstaje, to uczeń od godziny już chłapie po błocie, w ciemności brodząc po kałużach, gnany w tym wypadku jedną myślą z nauczycielem, byle tylko zdać na dzwonek. Warunki te musza chyba wcale nie być rozpaczliwe, bo szkoły powszechne wcale się nie upowszechniają, a przeciwnie, bo właśnie przez reorganizację sieci szkolnej szkół jeszcze ubywa.

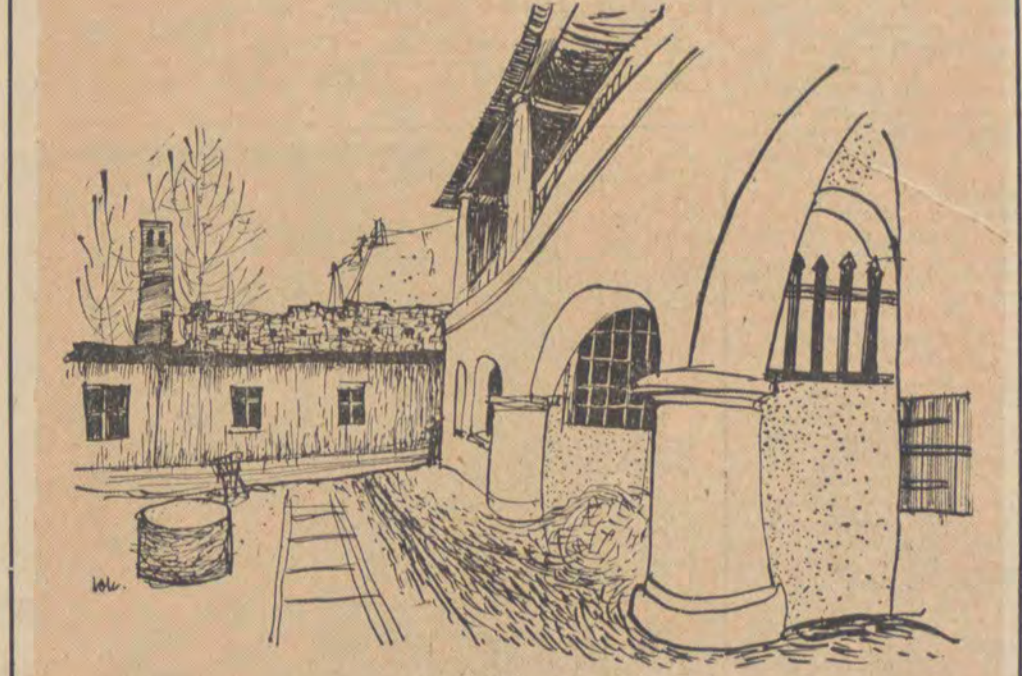
Gospodarz 16-morgowy w pow. łęczyckim.

P ół roku przeszło. Syni ziemię sprzedał i wyjechał na Kresy. Pięć morgów zostawił dla mnie, bom nie chciał jechać. Zagospodarowałem się jako tako. Niedługo jednak zaryzykowałem spokój, bo nieszczerze nie chodził po niebie ino po ludziach. Synowa przyjechała z Łodzi. Syn zachorował na galopowe suchoty, bo się przelebił we wojsku, a potem w budce. Sprzedałem trochę żyta i pszenicy, wziąłem pieniądze i pojechałem do Łodzi. Przyszliśmy na miejsce. Syn leżał w łóżku lichy już bardzo. Dzieci bawiły się same czarne z kurzu od węgla. W izbie było zimno, bo to zwyczajna węglówka papa wybita. Ściany czarne od węgla, bo drzwi z izby prowadzi do węgla i przy nasypowaniu węgla kurzy się. Na drugi dzień syn umarł. Trudno mi było patrzeć na całe jego pomieszkowanie. Dzieci wychudzone, poprzeciebiane, ostrupiałe, a jak to wszystko patrzy, nby nie z tego świata. Na cmentarzu płac kosztuje 30 złotych. Nie miałem tyle pieniędzy, chodźłem więc do różnych księży, Magistrata za kartą ubóstwa, wreszcie wyskomałem ono chowanie za darmo. Ksiądz chciał za pokropkę 5 złotych. Myślałem sobie, jak nie potrzeba, to po co kropić, za pieniądze niech nie kropi. Deszcz cię będzie kropił po grobie za darmo od boga. Lepszy ty od tych wszystkich, u boga sprawiedliwość znajdziesz. Włożyliśmy trumne na wóz i wywieźli na cmentarz. Mgła wałowała się między grobami. Jedne były wielkie, bogate, drugie z ziemią się zrównały, takie różne te ostatnie własności na tym świecie. Pochowałem syna. Budkę i pozostały węgiel sprzedałem. Dzieci z synową wysłałem na wieś, a sam wyszedłem plechota. Przyszedłem do Pabianic. Był tu strajk. Tramwaje nie chodziły. Kupy ludzi pchało się we wszystkie strony. Wszędzie kottowało się jak w mrowisku. Zmieszaliśmy się razem ze wszystkimi. Pchał mi naprzód. Czuliłem w sobie złość taką jak i wszyscy dokoła. Przy fabryce Endera policja rozpychała ludzi. Cofneli się wszyscy i wycchneli mnie naprzód. Zanim zdażyłem odejść, policjant lunął mnie gumowa pałka przez plecy, aż mi w oczach spoiła. A on powiada. Idźcie innymi ulicami, bo tu gazy bydom puszczać. Ludzie nie chcą już trzy dni wyjść z fabryki. Cofnałem się nazad i bocznymi ulicami obszedłem miasto. Potem ścieżką wyszedłem do cmentarza. Dookoła plotu było pełno ludzi. Roz się kupili to znów rozlatywali, jak te spłoszone kury gdy je jastrząb z góry naleci. Policja przywiezła na cmentarz trumne jakiegoś robotnika i nikomu nie dała wejść na cmentarz. Dopiero kiedy już policja skończyła pogrzeb i wyszła, ludzie się gruchneli hurmem na cmentarz, a i ja wlażem z ciekawości. Nad grobem śpiewali ludzie komunistyczne piosenki. Przy mnie stała jakoś gruba baba. Spytałem się jej co się tu stało, a ona mi powiada. Z piecaście to spadli czy wilkowi spod ogona wylecieli, nie widzieli to jak ludzi mordują. Potem aż przysiadła za nagrobkiem i krzyczała na całe gardło, krew! krew! krew! Kiedy skończyła obróciła się do mnie i mówi, „tyle ino umiem z czerwunego, ale się musze całogo nauczyć bo się przyda”.

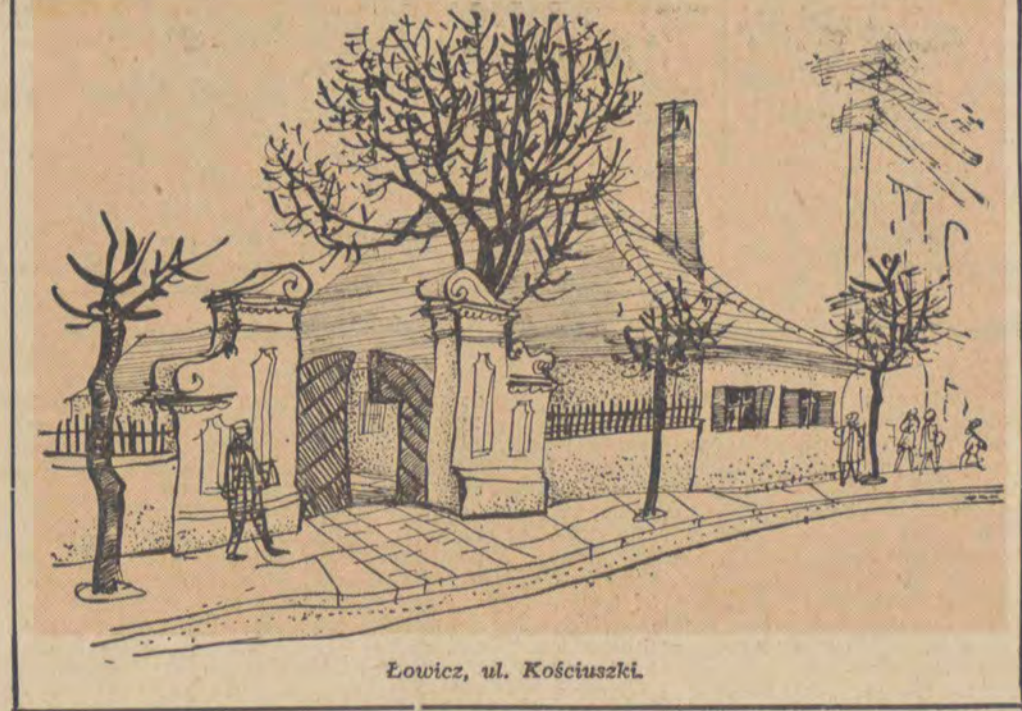
Gospodarz z pow. łaskiego.

W ieś dziś nie widzi żadnej przyszłości przed sobą. Wielka beznadziejność zapanowała na wsi, ludzie chodzą jak beznadziejni, wszędzie pełno nędzy, spustoszenia i rozpaczy. Pamiętam gdy w czasach dobrej koniunktury zjawili się na wsi komornik czy sekwestrator to było coś zadziwiającego, wszyscy wylegli na drogi z domów ciekawo po co i do kogo przyjechał, a większość to tacy co tego pana w swoim życiu nie widzieli i ciekawo byli go zobaczyć jak on też wygląda. A dziś nawet nikt nie wyjrzy z domu, sekwestrator to nie dziwnego wszyscy są obofetni na obecność jego na wsi. Obecność komornika czy sekwestratora na wsi nikogo nie wtrusza, gdyż ci panowie są prawie codziennymi gośćmi wsi. Ludzie się nie przerażają obecnością sekwestratora, gdy widzą że już im nie weźmie, bo nie ma co. Nedźna, smutna i beznadziejna wieś więcej podobna do cmentarzyska niż do zbiorowiska życia ludzkiego. Zniknął uśmiech na twarzy wieśniaka gdyż oprócz ciężkiego borykania się z niedźnym losem nie więcej mu nie pozostało. **Cieśla wiejski na kilkumorgowym gospodarstwie w pow. łaskim.**

Z teki WACŁAWA KONDKA



Łowicz, Podwórko.



Łowicz, ul. Kościuski.

W chłopie jest litość dla krzywdy, jest poczucie prawdy. I choć nieraz się zdaje, że chłop to rzeczywisty zły człowiek, to jednak nieprawda. Są w nim pierwiastki dobre, które choć przyspane warstwą złych nawyków, przyswojonych przez upodającą przeszłość — mogłyby zakwitnąć w całej pełni gdyby tylko dano możliwość chłopu doskonalenia się.

Spytacie może, jak to, tego się nie daje? Mówię wam, daje się, lecz pozornie. Z jednej strony daje mu się możliwość, z drugiej zaś odbiera mu się podstawy, na których mógłby wykorzystać, to, co mu daje.

Przecież opinia publiczna wie o tym, iż w szkołach coraz mniej dzieci chłopskich. I wiecie to także, że na wsi jest nadmiar ludności i nadmiar ten stale się zwiększa. O szkole myśleć nie można. Co najwyżej i to też nie w każdym wypadku, pomysł jest można o szkole powszechnej.

Cóż więc robić z nadmiarem sił jakie się wytwarzają na wsi? Wobec dzisiejszych warunków — powiększa one szeregi bezrobotnych i stana się niedźzarnymi. Stan taki jednak długo nie potrwa. Wiedź zorientuje się wreszcie i tak czy owak zdoła do tego, co jej się należy. I chociaż na przeszkodzie stoja wady, które ma w swym charakterze, jednak przycięniata koniecznością, zdoła do tego na wszystko.

Bezrolny wyrobnik wiejski w pow. kałuskim.

rabiają po tysiąc złotych miesięcznie i więcej, a które wydają na suknie i kapelusze po paraset złotych, niech pójda na wiejskie cmentarze, a przekonają się, że piszę prawdę. Niech zobaczą ile ofiar tam leży. Całe rzędy młodych kobiet, których wata barki nie mogły unieść nadmiernego ciężaru pracy i obywatelstwa, i padły te ciche ofiarnice, jak najwaleczniejsi żołnierze na posterunku. Ileż tam leży nieszczesnych matek, którym za lekarstwo w ciężkiej chorobie służyła tylko czysta woda, a całą „pociecha” był płacz głodnych dzieci. A ile tam leży młodych pracowitych gospodyń, które całe życie poświęciły, by przysporzyć dobra ojczyźnie, a w zamiar sekwestrator wydarł im ostatnią poduszkę spod chorej głowy. **Zona gospodarza 15-morgowego w pow. warszawskim.**

O poziomie trudności finansowych na dzisiejszej wsi świadczy samo to, że z naszej okolicy oprócz mojego brata, uczącego się w Państw. Sem. Naucz., nikt nie uczy dzieci w żadnej szkole średniej.

Określenie okolicca nie jest tu jednak ściśle określeniem i mogłoby mieć uchybienie. Biorę więc ścisłej i stwierdzam, że z parafii Kałowskiej, która też zresztą jest dość duża, literalnie żadne dziecko nie uczeszczą do gimnazjum czy Innej szkoły z zakresu średnich, oprócz, oczywiście, brata, którego nauka i utrzymanie w szkole

Wolanie z DNA

Dla województwa łódzkiego: nieletni w roku ubiegłym popełnili 1.081 przestępstw. W roku 1964 było ich „tylko” 754, a więc wzrost o ponad czterysta przestępstw. To dużo. To bardzo, bardzo dużo, zważywszy, że akcje profilaktyczne, jakie prowadzi rozmaite instytucje i organizacje już od lat, nie przynoszą wyników. Wzrost przestępczości wśród nieletnich wykazuje stałą tendencję zwykłą, ilość młodocianych przestępców wzrosła w naszym województwie — w porównaniu z rokiem 1964 — o ponad sześćset osób. Milicyjne rejestry zaewidencjonowały w roku ubiegłym 1.764 nieletnich przestępców.

Wśród popełnionych przestępstw najpoważniejszą grupę stanowią kradzieże (646), włamania (179), pożary (89), chuliganstwo (54). Pierwsze miejsce pod względem nasilenia się przestępczości nieletnich zajmuje zdecydowanie Piotrków, (163 przestępstwa, 281 przestępców), na drugim są Skierniewice (84 przestępstwa), następnie: Łódź-powiat, Tomaszów, Kutno, Zduńska Wola, Zgierz. Pociągamy się jednak, jeżeli to może być pocieszenie, że wzrost przestępczości nieletnich nie dotyczy jednego, naszego województwa, dotyczy całego kraju.

Obecnie, w prasie, trwa kampania przeciwko chuliganstwu.

Właściwie, wcale nie tak zamierzalam rozpocząć swój artykuł. Chciałam jak to się mówi, wziąć czytelników „na sentyment”, lecz akurat usłyszałam w radio wiadomość o tym, jak tłum ludzi szturmujący autobus, stracił na śmierć zemłodną kobietę. Więc pomyślałam, że sentyment rzecz tania, sentymentem tu nie nie wskóram, że trzeba na zimno, wyrachowanie — cyferki, liczby; cyferki i liczby przemówią lepiej i dokładniej do wyobraźni niż „sentyment” do serca.

Niedawno jeden z moich znajomych opowiadał mi o nader interesującej rozmowie, przeprowadzonej w autobusie przez paru długowłosych wyrostków. Łódzcy beatles rozmawiali o... chuliganach. „Co byś zrobił, jakbyś zobaczył, że biją?” — zapytał jeden z nich. „Co? Natychmiast bym nawiał!” — odpowiedział drugi, a trzeci się zastanowił: „Może bym zawałał dorosłych o pomoc...”, na co pierwszy, gwałtownie i z oburzeniem: „Dorosłych? Coś ty! Dorośli pierwszy nawiewają...”

Powyższy wtręt jest właściwie „ni przypięty ni przylaty”, wciąż jednak szukam logicznego przejścia do cytatów z wywiadów milicyjnych, na podstawie których zamierzalam zbudować artykuł. Dałam mu efektywny tytuł: „Wolanie z dna”, projek-

towałam równie efektowną kompozycję: same cytaty wstrząsające w swojej tragicznej i oskarżycielskiej wymowie, jak na przykład:

— Marysia i Henia P. Ojciec nałogowy alkoholik, rozszedł się z żoną, na córki nie płaci. Matka żyje z przyjacielem, który zaraził obydwie dziewczyny chorobą weneryczną. Marysia i Henia wykazują skłonności do niemoralnego prowadzenia się...

— Staszek, Piotrek i Krysia. Dwa nasię, jedenaście i dziesięć lat. Ojciec alkoholik, sprzedał gospodarstwo, pieniądze przepił. Matka nie żyje. Ojciec mieszka z trojgiem dzieci kątem, na sublokatorce. Dzieci kradną żywność, bo są głodne...

— Pięcioro dzieci, najstarsze urodzone w roku 1955. Ojciec pijak, przeżył wszystko, graty, ubranie. Matka dorywczo pracuje, jest ciężko chora. Mieszkają wszyscy w jednej izbie z gliny, bez podłogi. Dzieci wychudzone...

— Sześcioro dzieci, najstarsze urodzone w roku 1951, najmłodsze w roku 1961. Ojciec alkoholik, matka pracuje. Zarabia około 1.200 złotych...

— Czwororo dzieci, każde z innego ojca. Matka alkoholiczka, trudni się nierządem...

— Czwororo dzieci. Najstarsze Iwona i Krystyna (sześć i siedem lat), każde z innego ojca. Matka pracuje, zarabia około 1.100 złotych, prowadzi się niemoralnie, dzieci pozbawione opieki, matka wychodzi z domu, znika na noc, zamykając dzieci na klucz. Siedmioletnia Irena zdradza objawy niedorozwoju umysłowego...

— Mietek, urodzony w 1951 roku. Matka uprawia nierząd, trzykrotnie karana za kradzież. Chłopiec kradnie z głodu...

— Sześcioro dzieci, matka chora, niezdolna do pracy, ojciec pijak, dzieci czasem dokarmiane przez sąsiadów...

— Dziewięcioro dzieci, ojciec alkoholik, matka nie pracuje, dzieci wychudzone, bite, brudne, obdarte...

— Trzech chłopców, najstarszy lat szesnaście, najmłodszy trzynaście. Wszyscy chodzą do... czwartej klasy szkoły podstawowej. Wiesław, lat dwanaście, choruje od urodzenia na astmę. Dzieci niedożywione, brudne, matka nie pracuje, z mężem nie żyje, mąż na dzieci nie płaci...

— Mirek z Tomaszowa Mazowieckiego. Lat trzynaście, do szkoły nie chodzi. Skończył zaledwie pierwszą klasę. Matka debilka, pracuje, zarabia 1.100 złotych. Mieszka z dzieckiem w komórcie...

— Sławek, lat dziesięć. Matka rozszedła się z mężem, wyszła drugi raz za mąż, razem z ojczymem wyrzuciła syna na ulicę...
To tragiczne wypisy. Wypisy z listy, długiej listy dzieci moralnie zagrożonych. Te dzieci, dziś jeszcze dzieci, jeszcze „tylko” moralnie zagrożone, jutro już zasila szereg chuliganów, przestępców, bandytów i chojraków. Dziś budzą współczucie, jutro budzić będą wstręt, odrazę i bezwarunkowe, bezapelacyjne potępienie. Część z nich zasiedzi z pewnością na ławie oskarżonych. Będą odpowiadać z takiego i takiego paragrafu. Za taki i taki czyn przestępczy. Może ukradną. Może zgwałcą. Może nawet zabiją. Z nich przecież, kurtuazyjnie zwanych „moralnie zagrożo-

nymi” wyrastają przestępcze szeregi, to reguła, od której wyjątki zdarzają się nader rzadko. Powyższe cytaty, skrzętnie wynotowane przez zoną ręką sentymentalnej dziennikarki z milicyjnych wywiadów środowiskowych — oskarżają. Oskarżają rodziców. Ojców i matki, którym dzieci nie są potrzebne, dla których dziecko to gorzej niż piąte koło u wozu.

Wydaje mi się jednak, że oskarżają nie tylko rodziców, że oskarżają również otoczenie, w którym żyją tragiczne dzieci, zwane moralnie zagrożonymi. Lokalne społeczności: blokowe, sąsiedzkie. To otoczenie, które mogłoby wiele pomóc, wiele przeciwdziałać, jest obojętne. Co najwyżej z miłosierdnego garbka da trochę strawy, z miłosierdnego bochna odkraja kawałek chleba. To nie jest wyjście. To wątpliwej jakości humanitaryzm. Opinia społeczna potępia bez pardonu bandytów i chuliganów, brawo, słusznie, lecz jednocześnie opinia społeczna w wielu wypadkach potrafi przejść do porządku dziennego nad alkoholikami, maltretującym żonę i dzieci. Pijak bije żonę, bije dzieci, wyprzedaje meble na wódkę, ubrania na wódkę, a co to nas obchodzi? Jego pieniądze, jego meble, jego żona i dzieci, nie nasze — niech płk. Byłoby nam spać nie przeszkadzało. O, bo jeśli przeszkadza nam spać, to jest, obywatelu, zakłócenie porządku, z tym trzeba walczyć, piętnować, ja mam zagwarantowane prawo spać spokojnie.

Obojętność, straszna choroba, powszechna. Zemłodną kobietę strato-

wiek rażony prądem przeleżał pół dnia na ulicy, chuligan zabił na oczach grupy ludzi stojącej w kolejkę po bilety do kina kobietę, jej dziewięcioletni synek przez wiele minut na próżno wołał pomocy — to są fakty przerażające, bo obiektywne, co wobec nich znaczą moje cytaty, mające apelować do sumienia, przemawiać do serca?

Szukając środków w płaszczyznach bardziej konkretnych i sprecyzowanych niż sumienie lub serce ośmielię się stwierdzić, że w takiej sytuacji poważną część odpowiedzialności spada na szkołę. Biedna szkoła, nekana już tyłoma odpowiedzialnością! A jednak — bo to też wykazują czarno na białym statystyki — najgorczy wiek, wiek podatny na wpływy, tzw. wiek przestępczości nieletnich przypada właśnie na okres szkoły podstawowej. Dlatego jeszcze raz szkoła. Zresztą, szkoła może bardzo wiele. Ma codzienny kontakt z dzieckiem. Może bardzo szybko zaobserwować nawet drobne przejawy deprawacji. Oczywiście, pod warunkiem, że będzie interesować się swoimi uczniami nie tylko od strony ocen przedmiotowych. W ogromnej ilości przypadków dzieci moralnie zagrożonych, uniknęłyby się następstw, gdyby sygnał o dziecku był dany w odpowiednim czasie. Gdyby jego sytuacja środowiskowa, warunki życia zostały ustalone jeszcze wtedy nim choroba się rozprzestrzeniła na cały organizm. Wtedy środki profilaktyczne byłyby w stanie działać. Wtedy dość często stosowane pozbawianie praw rodzicielskich w wypadkach szczególnie drastycznych nie byłoby przysłówiową musztardą po obiedzie.

Wtedy ustanawianie kuratora społecznego czy innej formy opieki nad dzieckiem miałoby swój uzasadniony sens. Lecz dzieje się inaczej. Dziecko wpisane na listę moralnie zagrożonych jest już w tym stadium choroby, że profilaktyka mu nie może pomóc. Dziecko jest zbyt tragiczne, aby mogło uwierzyć w pomoc ludzką.

Marysia i Henia. Zarażone przez przyjaciela swojej własnej matki chorobą weneryczną. Są cyniczne, zdecydowanie cyniczne, mimo swoich szesnastu i siedemnastu — jak by to metaforycznie określili poeta — wiosen. Tym dziewczętom już chyba nigdy pomóc nie będzie można. Mirka, który kradnie z głodu — co zostało stwierdzone obiektywnie przez funkcjonariusza milicji — dzieł tylko mały krok od praktyk złodziejskich. Teraz kradnie tylko żywność, bo jest po prostu głodny, jutro ukradnie pieniądze, włamie się do kiosku, do sklepu.

Nie moja rzecz jest stawianie mądrych wniosków, jeżeli tych mądrych nie wymyśliło tyłu mądrych ludzi. Jestem tylko sentymentalną dziennikarką, która współczuje tragicznym dzieciom, kurtuazyjnie zwanym moralnie zagrożonymi. Wszelkie mądrości, jakich mnie starano się nauczyć, wylatują z głowy, gdy myślę o losie dziecka wyrzuconego przez matkę na ulicę. O losie wielu dzieci, wielu setek dzieci, skazanych na moralne zagrożenie z tego powodu, że ich ojciec lub matka nie zasługują na tę, podobno szaczną nazwę. Nazwę rodziców.



RABBIT z Budapesztu

Dalszy ciąg ze str. 1

Ta pierwsza, pytająca, blednie...
— Co ci jest? — niepokoi się druga.
— Nic... ja też patrzyłam na Zeta...
Zet, przystojny gość, pod czterdziestkę, stoi spokojnie z trzecią, co mu wcześniej wpadła w oko z racji swoich kształtów. Tymczasem przepija do niego, który tkwi w nieświadomości, jeszcze czwarta Polka i piąta, cynkująca sprytnie spod zmrużonych powiek. Będzie biedak miał kłopoty. Tym bardziej, że wody, która wymaga ponoć głód miłości, nie kosztował...

Ale Polki Polkami. Zostawmy je w spokoju wraz z źródłem miłości, przy którym tłok narasta z minuty na minutę w atmosferze złudnej nadziei. Zresztą — Polaków jest tu bardzo dużo, i sprawa jasna, że dla mieszkanki Łodzi, zabłąkanego w tłumie Węgrów, nie stanowią specjalnej atrakcji. Takiej na przykład,

jak Vidapark, wesołe miasteczko z diabelskimi przyrządami...
Położone na rozległej przestrzeni, cięższy się w dni wolne od pracy, a równie w wieczorami, w dni powszednie, ogromnym powodzeniem. Dzieli się na dwie części: małą — dziecinną, i dla starszych, gdzie wstęp kosztuje pół forinta i za każde szaleństwo płaci się potem osobno. Czaracie młyny, gwiazdy, huśtawki, łódzie zdalnie kierowane wokoło małych basenów, komory cudów i osobliwości, karkołomne pociągi frygające kilkanaście metrów w górę i dół z szybkością zbliżoną do ekspresów relacji Łódź — Kutno, pasy ruchome, gdzie niemiłosiernie o upadek, wieże wielkiej niespodzianki wymagające od śmiałka zręczności, siły i kondycji, zaskakujące — szczególnie kobiety — wirami sprężonego powietrza, co przydaje ogólnej zabawie ociupinkę perswersji — to rozwiane halki i spódnice, ten śmiech gapiów z dołu — płace samochodowe, na których pojazdy trzaskają o siebie jak bilardowe kule, wypożyczalnie motorów i rowerów, kajaki, statki, koła, elipsy, światła i cienie, i tak można liczyć w nieskończoność. Rzecz zrozumiała, że podobne użytkowanie energii wymaga natychmiastowej reprodukcji, toteż wśród zmęczonych, spokojnych tłumów, uwijają się liczni sprzedawcy, ruchome kioski z ręcznym bagażem smakołyków. Ktoś nabywa za kilkadziesiąt fillerów garść pestek, ktoś parówki z pszenną bułką, ktoś jeszcze — łańcuch obwarzanków. Piwo, lemoniada, napoje firmowe, lody obłożone czekoladą — wszystko to znika w tempie niesłychanym. Na marginesie — piwo robi w Budapeszcie zawrotną karierę. Dotychczas — tradycyjnym napojem Węgrów były wytrawne wina i kawa pita w maleńkich dawkach ale niesłychanie mocna, „słodka jak grzech i czarna jak noc”. Teraz, piwo zagrożiło tradycję i kto wie czym to się skończy. Być może, po-

dobnie jak w NRD i Czechosłowacji, chmiel zastępuje Madziarów, być może: kapsle zastąpią korki, a kawa zwietrzeje i stanie się takim dziwolągiem jak herbata w Pradze i Berlinie.

Inny cios wymierzony w tradycję, dokładniej: w folklor — to jazz i wszelkie jego odpryski z big-beatem na czele. W Vidaparku na Wyspie Maigorzaty jest lokal pod gołym niebem i mała estradka, na której grzmocą non-stop; trzy gitary, elektryczny kontrabas, bębny, saksofon altowy, beatlesowskie organki z rejestrem i śpiewak gibki w biodrach. Aha, i jeszcze rytmiczny tamburin, relikw przeszlęci, smutne wspomnienie po cygańskich grajkach i ognistym czardaszu. Zgoda, w takim miejscu jak wesołe miasteczko — krzykliwym i gwarnym — smyczki nie mają racji bytu, giną w zgiełku. Co się jednak dzieje z innymi lokalami. Co się dzieje ze starą gwardią muzyków. Wszędzie złośliwie piętno mody, komercjalizacja, modernizacja, eksperymenty, i w rezultacie, efekt oplakany. W restauracji „Pannonia” na przedmieściach Pesztu, gdzie przechodziłem kwartanannę winną, obiecywali ten właściwy klimat, no wiecie — mrok, śpiew strun i walc na falach pewnej rzeki. Początek był wprowadzić adekwatny do obietnic — był skrzypek czarownołosy, smagłocery i pianista z rozmarzoną miną; później — wszystko się urwało: skrzypek chwycił klarnet z saksofonem na zmianę, pianista śpiewać zaczął „Quando Quando”, „Pecunia non olet” i tak dalej, bębnieta się podochocił, poszły w łąt dyskretna szczołka, pałki grzmiały na werblu jak burza, i ja, były jazzman, niedoszły Davison, musiałem słuchać tej żalostnej parodii, wypierającej z każdym dniem stare, dobre obyczaje.

Podobnie dzieje się w innych „eterem” Budapesztu. W pogoni za autentycznością, chodźłem miastem nasłuchując pod oknami restauracji i kawiarni, w stanie dziewczym nieskazanym modą, znajdując

się tylko lokale w wąskich, bocznych uliczkach, gdzie turyści zaglądną bardzo rzadko, albo wcale — oraz dworzec, tak, dworzec w śródmieściu i ogromna, jak trzy nasze kaliskie, sala, estrada i kapela cygańska — w non-ironach wprowadzie ale z wiolonczelą, altówkami, z basem pociaranym za pomocą smyczki (można także pizicato, ręką) i z kapelmistrzem — skrzypkiem co się zowie, grającym, o zamkniętych oczach i bez nut.

Ale wróćmy na Wyspę Maigorzaty, do Vidaparku, orkiestry mocnego uderzenia i śpiewaka gibkiego w biodrach. Chłopaki grają, trzeba przyznać, znakomicie. Puls tej muzyki udziela się z wolna słuchaczom. Ten i ów przytupuje nóżką, tamten chciałby zatańczyć. Brak jednak w tym lokalu miejsca na parkiet. Toteż dochodzi do paradoksu — zaczynają tańczyć ci spoza restauracji, spoza ogrodzenia, nie objęci konsumpcją. Najpród dwóch pstrokatek Cyganów, potem parki mieszane — cygańsko-węgierskie. Dookoła kwarty mur ciekawych. Ktoś zaczyna klaskać w ręce. Kordon podejmuje. Chłopak gibki w biodrach śpiewa o ciasnych butach, które wkłada raz na tydzień, w niedzielę i parki przechodzą na twista. Ładne to, wdzięczne. Bez wyzłania i przesadnej egzaltacji. Czasami w torys z tańczących okrasza widowisko pausem ludowym; bierze w tym momencie oddech i znowu puszcza tułów w zawrotny wir...

Nagle taniec ustaje. Zjawia się władza ludowa — uśmiechnięta i grzeczna, ale stanowcza. Zupnie jak u nas. W Polsce. Tyle tylko, że węgierski milicjant był pod sumiastym wąsem, bo to u nich w modzie.

I jeszcze o młodych. Nie znam wprawdzie milicyjnych statystyk, ale z obserwacji czerpie przekonanie, że to młodzież znakomita — elegancka, dobrze wychowana, posiadająca ponadto złotą cechę charakteru — umiar. W zabawie, w ubio-

BAŁ SIĘ LATAĆ...

Oto wyjątki z książki pt. „WINSTON CHURCHILL”, której autorem jest lord Moran of Marston — przez 25 lat lekarz przyboczny i przyjaciel Churchilla. Książka ma formę pamiętnika. Jest to jakby karta kliniczna pacjenta, którego Amerykanie określili jako „najtrudniejszego pacjenta świata”. Autor kreślił postać Churchilla jakiego nie znamy — człowieka lekkiego, dręczonego bezsennością, szukającego u lekarzy pomocy i siły, by sprostać zadaniom, jakie przed nim postawiła historia.

W maju 1940 r. Lord Moran został mianowany osobistym lekarzem Winstona Churchilla. Kiedy składał swą pierwszą wizytę premier przyjął go niezbyt laskawie.

24 MAJA 1940 R.
Winston Churchill ma 65 lat, właśnie mianowano go premierem, a mnie jego lekarzem. Członkowie Gabinetu zdają sobie sprawę z tego, jak bardzo Churchill jest potrzebny, postanowili polecić jego zdrowie stałej opiece lekarskiej. W południe udałem się do domu, w którym Churchill mieszkał. Leżał w łóżku. Spojrzał na mnie zniecierpliwiony „nie rozumiejąc skąd ta cała historia — mam lekką niestrawność — ot i wszystko”. Wykoszywszy z łóżka zaczął wykonywać ćwiczenia oddechowe. Tymczasem sekretarka p. Hill zapukała do drzwi. Premier szybko wrócił do łóżka. W kilka minut potem wyszedłem. Nie podoba mi się ten no wy obowiażek.

24 GRUDNIA 1941 R.
Tego dnia o zmierzchu trzydziestu tysięcy osób zgromadziło się wokół choinki w ogrodach Białego Domu. Śpiewano koledy. Potem Roosevelt i Churchill wygłosili z balkonu krótkie przemówienia. „Podczas całej uroczystości — powiedział mi potem premier — miałem bicie serca. Co to jest?” „A ile uderzeń?” „150”. Odpowiedzi moja uspokoiła go trochę. „Zmienność losy wojny — mówił — Rosja zaczyna zwyciężać”.

27 GRUDNIA 1941 R.
O 10 rano, kiedy wróciłem z przechadzki wezwano mnie do Białego Domu. Zastąpiłem premiera w łóżku. Był niespokojny. „W nocy było zbyt gorąco, wstałem, aby otworzyć okno. Kłamka zacięła się — musiałem użyć siły. Zabrakło mi oddechu, a potem poczułem głuchy ból w sercu. Ten ból przeniósł się na lewe ramię. Nie trwało to długo, ale zdarza mi się po raz pierwszy. Co to znaczy? Czy serce jest w porządku? Chciałem zaraz wezwać pana, ale nie uczyniłem tego”. — Wiedziałem, że sa to oznaki nie-

wydolności krążenia. Zastanawiałem się, co mu powiedzieć. A jeśli elektrokardiogram wykryje skrzepy w naczyniach wieńcowych? Przy najmniej powinienem nakazać pozostanie w łóżku przez 6 tygodni. Ale jak to ukryć przed opinią publiczną? Teraz kiedy Ameryka ma przystąpić do wojny — Churchill jest jedynym człowiekiem, który może rozmawiać z prezydentem na temat koordynacji zadań. I wreszcie, jak zareaguje premier kiedy się dowie, że ma chore serce? Z drugiej strony jeśli go nie ostrzeże może przysięść drugi atak, a wtedy za to co nastąpi ponoszę odpowiedzialność. Oto myśli jakie mnie nie pokoiły.

18 CZERWCA 1942 R.
PODCZAS LOTU
Nie zważając na ryzyko Churchill poleciał 18 czerwca 1942 r. na słynne spotkanie z Rooseveltem w Potomac.

Premier przejawiał zawsze niechęć do podróży samolotem. Spytał mnie czy się boję. Zanim odpowiedziałem, już myślał o czymś innym. Wezorał jadąc samochodem na lotnisko słyszałem jak mówił do siebie „Jesteś tu, bo musimy być tu”, a potem żartował dla dodania sobie odwagi. Mimo wszystko jest w dobrej formie.

WASZYNGTON
21 CZERWCA 1942 R.

Po południu udałem się do Białego Domu wezwany przez premiera. Spacerował po pokoju. „Tobruk padł”. — Powiedział to w taki sposób, jakby był odpowiedzialny za to co się stało. Znow spacerował — „dreczy mnie, że stało się to kiedy jestem tutaj — stanął przy oknie — to wstyd, nie mogę zrozumieć, jak to się stało, że Tobruk padł. Więcej niż 30.000 ludzi podniosło w górę ręce”. Nie zwracając uwagi na moją obecność przechadzał się bez słowa, po chwili usiadł na krześle. „Te wiadomości przekazał mi Roosevelt”. Powiedział, że przysłał czołgi typu Sherman. Dostarczy je do Aleksandrii”.

Upadek Tobruku osłabił pozycję Churchilla. Musiał udać się do Ameryki, aby uzgodnić utworzenie drugiego frontu. Nie udało mu się jednak nakłonić Amerykanów do lądowania we Francji. Osiągnął to, że otrzyma czołgi i sprzęt wojskowy do prowadzenia wojny w Afryce.

LONDYN
1 SIERPNIA 1942 R.

Złożyłem wizytę na Downing Street. Premier był zamyślony. „Tu coś nie gra — chciałbym to jasno wiedzieć”. Niepokoił go zły przebieg wojny w Egipcie. Wiedziałem, że myśli o spotkaniu na szczycie. Kiedy wychodziłem pokazał mi depesze. „Będziemy musieli pojechać do Stalina. To co powiem Stalinowi nie będzie mu się podobało, ale cóż lepiej teraz o tym nie myśleć”. Premier zastanawiał się jak oznajmić Stalinowi, że w bieżącym roku nie uda się stworzyć drugiego frontu we Francji.

MOSKWA
12 SIERPNIA 1942 R.

Konferencja u Stalina, w której uczestniczyli Molotow, Woroszyłow, Harriman i nasz ambasador Clark Kerr, rozpoczęła się o szóstej i trwała cztery godziny. Po powrocie pre-

mier oznajmił „Pierwsze dwie godziny były bardzo czarne. Tłumaczyłem dlaczego nie może powstać II front. Stalin nie przyjmował żadnych tłumaczeń, był wściekły, ale słuchał moich wyjaśnień i odpowiadał nie podnosząc głosu. Kiedy mówiłem o bombardowaniu Niemiec udobruchał się. Wtedy powiedziałem o lądowaniu naszych wojsk w Afryce północnej”. „Może Bóg Wam pomoże dotrzymać słowa” — oświadczył Stalin.

13 SIERPNIA 1942 R.

Dziś o godzinie 11 Churchill spotkał się na Kremlu ze Stalinem. Rozmowa trwała dwie godziny. „Jestem zdezorientowany — biadał po powrocie. Wiele wysiłku kosztowała mnie ta droga. Stalin nie wyjmował z ust fajki, czy miał przymknięte i zlorzezył. Mówił, że w Rosji ginie co dzień 10.000 ludzi i jeżeli Anglicy bili by się z Niemcami, tak jak bije się z nimi Czerwona Armia, nie miałby takiego przed nimi strachu. Na końcu Stalin stwierdził, że nie dotrzymaliśmy słowa. Sir Aleksander Coddogan przerwał pytając premiera: „Czy mam zakomunikować Stalinowi nieprzyjęcie zaproszenia na jutrzejszy obiad na Kremlu?” „Nie — to byłoby chyba za wiele” — odpowiedział Churchill.

LONDYN
KONIEC LUTEGO 1943 R.

W tydzień po naszym powrocie z Afryki premier zachorował. Był silnie przeziębiony — wieczorem gorączka skoczyła gwałtownie. Nazajutrz stwierdziłem zapalenie płuc.

Po przebytej chorobie Churchill udał się ponownie do St. Zjednoczonych, aby przekonać Roosevelta, że po zwycięstwie w Afryce, zadaniem aliantów jest opanowanie całych Włoch, nie tylko Sycylii, jak to zamierzali Amerykanie.

WASZYNGTON
12 WRZEŚNIA 1943 R.

Lądowanie naszych wojsk w Salerno nie jest łatwe. Wiadomości są niepokojące. Niemcy atakują mocno i sytuacja jest niewyrażna. „Te sprawy — mrucał pod nosem Churchill — zawsze muszą tak wyglądać, kiedy jestem u prezydenta”. Biedny Winston tak przekonywał Roosevelta, że wojna we Włoszech nie będzie ciężka.

LONDYN
26 PAŹDZIERNIKA 1943 R.

W tym tygodniu odwiedziłem premiera. Był w złym nastroju. Pokazując mi telegram Edena powiedział z niecierpliwością „Stalin ma obsesję tego przekletego II frontu”.

Sprawa II frontu dojrzewa w listopadzie tego roku na konferencji w Teheranie.

TEHERAN
28 LISTOPADA 1943 R.

Spodziałem na premiera, kiedy wychodził z plenarnego posiedzenia, wyglądał wstrząśnięty. Wbrew wrodzonej rezerwie czułem się w obowiązku spytać go co się stało. „Wszystko jest źle — mnóstwo spraw”. Zrozumiałem, że nie zamierzam nic więcej powiedzieć.

30 LISTOPADA 1943 R.

Po śniadaniu ambasador Clark Kerr opowiedział mi co zaszło wczoraj na wydanym przez Stalina śniadaniu. Stalin był ponury.

„Po śniadaniu Stalin — powiedział: „Chcę nazywać Pana Churchilla moim przyjacielem”. Na to Churchill: „Mówcie mi Winston. Jak myśle o Was nazywam Was zawsze „Joe”. „Nie — odparł Stalin — chcę Pana nazywać przyjacielem, dobrym przyjacielem”. Wówczas premier: „Wznoszę toast za lud!” — a Stalin „wznoszę toast za Partię Konserwatywów!”.

MARAKESH,
27 GRUDNIA 1943 R.

Dziś rano lądowaliśmy w Marakesh. Zaledwie premier mnie zobaczył oznajmił radośnie: „Duke of York zatopił Schanhörsta. Zaczynamy nasz urlop pomyślną wiadomością”.

Minęło sześć miesięcy. Lądowanie we Francji. Rosjanie są już w Polsce i w krajach bałtyckich.

LONDYN,
4 SIERPNIA 1944 R.

Dziś rano wstąpiłem do sypialni premiera stwierdziłem, że jest zdenerwowany. Usiłowałem uspokoić go, ale wybuchnął: „Nie rozumiecie, że Rosjanie zajmują całą Europę. Opanowali już Polskę i nie nie przeszkodzi, by doszli do Grecji i Turcji”. A potem wykonał ręką taki ruch jakby mówił „ale na cóż właściwie zda się mówienie o tym”.

22 WRZEŚNIA 1944 R.
NA POKŁADZIE „QUEEN MARY”
(PO POWROTCIE Z AMERYKI)

Długie godziny premier spędza nad mapą, gdzie zaznaczone są ruchy wojsk. Wiem, że boi się ewentualności stordowania okrętu. Przerzą go myśl, że mógłby dostać się do niewoli. Mówi, że woli śmierć. „Jak długo może tonąć Queen Mary?” — pytał admirała. „Zapewne kilka godzin — brzmiała odpowiedź”.

MOSKWA,
9 PAŹDZIERNIKA 1944 R.

Przybyliśmy do Moskwy. Eden spytał w hotelu premiera: „Co Pan powie Stalinowi?” Powiem mu, że prezydent i ja jesteśmy zgodni jak bracia, ale decydując musimy w trójkę. Jeżeli będziemy zgodni to osiągniemy wszystko, jeżeli nie — wówczas całe lata trwać będzie napięcie dyplomatyczne”.

Churchill był oczarowany osobą Stalina, chciał i wierzył, że pozyska jego przyjaźń. Rozmowy w Moskwie trwały sześć dni, ale problem strefy wpływów w Europie pozostał nierozwiązany i odłożony do konferencji w Jałcie. Stalin był serdeczny, ale nie ujawniał swoich planów.

JAŁTA, 5 LUTEGO 1945 R.

Wczoraj wieczorem na obiedzie u Roosevelta Winston był w doskonałej formie, oświadczył mi, że „Stalin i prezydent mogą robić to co chcą — ja natomiast nie mogę ryzykować, bo za kilka miesięcy mogę pójść na zieloną trawkę”. Była to jedyna aluzja do mających nastąpić wyborów. Przez cały ranek tego dnia premier czegoś szukał. Najpierw zgubił okulary: „Sawyer, Sawyer — gdzie moje okulary?” Służący wskazał, że są w kieszeni. Potem przygotowując się do poobiedniej drzemki spytał: „Gdzie może być butelka z ciepłą wodą?” „Siedzi Pan na niej!” — odpowiedział Sawyer — ale nie wydaje mi się, żeby to był szczęśliwy pomysł. „To nie pomysł ale traf” poprawił

premier zadowolony, że znalazł właściwe określenie. „Dziś dyskutowaliśmy nad tym, czy Francja będzie reprezentowana w Alianckiej Komisji Kontroli w Niemczech. Stalin uważa, że Francja jest krajem bez wojska a jego zdaniem siła państwa zależy od ilości dywizji jakie mogą stanowić pomoc dla aliantów. Liczą się Polska i Jugosławia. Roosevelt zgadza się ze Stalinem jeśli chodzi o Francję, a de Gaulle działa mu na nerwy”.

6 LUTEGO 1945 R.

„Następna wojna — mówił premier jedząc śniadanie — będzie wojna ideologiczna”. „Między kim?” — spytałem. Nie odpowiedział mi, ale po chwili dodał w zamyśleniu „dopóki żyje Stalin nie wierzę, by Rosja się ruszyła. Stalin nie jest nam wrogi”.

LONDYN,
KWIECIEŃ 1945 R.

„Winston — powiedziała mi jego żona — patrzy na sprawy, koncentrując uwagę na tym tylko co chce dostrzec, poza tym nie go nie interesuje. Winston nie zna wcale zwykłych ludzi. Nigdy nie jechał auto busem, i tylko raz był w metro”. Wspominając to pani Klementyna uśmiechnęła się — „było to podczas strajku, kiedy odprawiałam go do South Kensington. Wychodząc ze stacji wyglądał przegrany. Winston to egocentryk, choć się do tego nie przyznał. Chciał zawsze żyć swoim życiem. Wczoraj powiedział mi: „gdym miał dziesięć lat mniej, zostałbym prezydentem Stanów Zjednoczonych Europy”.

7 MAJA 1945 R.

Kiedy Winston się obudził, kapitan Pin przyniósł mu wiadomość o poddaniu się Niemiec. „Przez 5 lat przynosił mi Pan wieści, jest Pan zrehabilitowany!”. Nie wydaje mi się jednak, aby premier cieszył się z ukończenia wojny.

MENDAYE,
8 CZERWCA 1945 R.

„Jestem bardzo przygnębiony — tymi słowami przywitał mnie dziś rano premier — „nie nie chce robić, brak mi energii i woli działania, nie wiem czy ja kiedy odzyskam”. Myśl o zbliżających się wyborach nie dawała mu spokoju. „Na konferencji w Poczdamie niczego nie przeprowadzę. Dopóki nie nadejdą wyniki wyborów, niewiele będę znał. W Poczdamie będę zmuszony trzymać się na uboczu. Nawet do malowania trące ochotę”. Jednak po śniadaniu kiedy pani Klementyna udała się do swego pokoju, Winston nie zważając na jej wypoczynek z halasem zabrał się do szukania farb. „Gdzie może być kobałt?” — wołał zirytowany. Wreszcie znalazł tubkę i uspokoił się. „No jest!” mrucał pod nosem. Odprowadziłem go do jego pokoju. „Muszę koniecznie odpocząć. Nie przeczytałem już ani jednej strony. Drżę mi kolana, a to zdarza mi się po raz drugi w życiu. Zmierz mi puls, Charles!”

25 CZERWCA 1945 R.

„Miałem dziś zły sen” — oświadczył z rana Winston. „Widziałem siebie zmarłego, leżałem w pustej sali, przykryty białym prześcierałem”. Zamyślił się i dodał „a może to już koniec?”.

Tłumaczyła:
M. TYMOWSKA

rze, w kontaktach z kieliszkiem. W Budapeszcie nie spotkałem ani jednego babochłopa z włosami do pepka, ani jednego przedstawiciela trzeciej piły, której pełno w Pradze, Berlinie i Łodzi, co wyhodowała sobie jakąś szczególną odmianę tej nijakiej rasy. Jedynym, szokującym na Węgrzech obyczajem jest powszechność palenia tytoniu przez kobiety. I to na ulicach. O każdej porze dnia i nocy. Łatwo spotkać szesnastoletnią dziewczynę z papierosem w ustach na głównych arteriach miasta. Łatwo spotkać zakochaną parę, trzymającą papierosa w rękach wolnych od uścisku. I nikogo to nie dziwi, oczywiście, prócz nas, turystów innej narodowości. Zresztą biorąc na zdrowy rozsądek, co w tym dziwnego? Więc się przestajemy dziwić z biegiem czasu.

2.

Zbliża się wieczór. Jest jeszcze widno, ale od rzeki wieje łagodnym chłodem. Czarci młyn na Wyspie Małgorzaty krąży nieprzerwanie rozpraszając okrzyki i śmiech. W odgłosie to wdaje się coraz silniejszy głos spikera radiowego z głośników umieszczonych na drzewach i z setek, ba, tysięcy tranzystorowych odbiorników. Odbywa się właśnie, w Belgradzie, mecz piłkarski — Węgry — Jugosławia. Gdyby Jugosłowiański związek piłki nożnej nie zażądał za prawa transmisji telewizyjnej dwudziestu tysięcy dolarów, gdyby przebieg zmagania był widoczny na ekranach węgierskich odbiorników — ludzie zginełby w oka mgnieniu z placów, ulic i parków. Na Wyspie Małgorzaty, więc i tu, w Vidaparku, byłoby pusto. Jednak jugosłowiański związek zażądał i, wobec powyższego, węgierscy kibice musieli obyć się fonią.

Na razie jest źle. Jugosławia prowadzi 1:0. Do końca meczu brakuje jeszcze kilkunastu minut, istnieją więc nadzieje na

zmianę wyniku. Dwa tygodnie temu istniały także nadzieje na czwarte nawet trzecie miejsce w tegorocznych mistrzostwach świata. Nadzieje te okłapył nieco po remisowym meczu z Polską, a teraz, w miarę upływu czasu, maleją tym bardziej.

Ech, gdzie te czasy — finały mistrzostw świata w Szwajcarii, złoty medal olimpijski, mecz stulecia w Londynie?... Gdzie wielcy artyści z murawy — Puskas, Kocsis, Hidekutti!...

W głośnikach ryk. Długi, triumfujący ryk belgradzkiej widowni. Już 2:0. W Węgrach wygasa reszta nadziei. Zaczyna się czarna rozpacz. Załoba. Jakis kibic wyrzywa włosy z głowy, inny ciska swój tranzystor o drzewo i odchodzi z pogardą w stronę metra.

To nic. Jutro nadzieje odżyją. Jutro prasa (na pierwszych kolumnach) odmieni Belgrad i Chorzów we wszelkich możliwych przypadkach, a komentatorzy od futbolu podadzą dziesiątki sposobów na wyjście z impasu. Pewien złośliwy komentator z dziennika „Hetroi Hirek” będzie przesuwiał piłkarzy jak drewniane klocki. W wyniku tej spekulacji powstaną cztery wesole systemy:

1-5-2-3!
2-4-7-1!
8-1-1-1-0!
0-0-0-0-11!

Ten ostatni wariant — rozumiecie? — pozbawiony jest bramkarza, obrońców i pomocników. Są tylko napastnicy. Jedynemu. Cała drużyna ustawiona na polu karnym przeciwnika.

Jutro nadzieje odżyją. Muszą odżyć i podtrzymać na duchu kraj, w którym piłkarz jest bogiem milionów, w którym ma taką pozycję, jak toreador w Hiszpanii i Meksyku. Zdjęcia drużyn budapeszteńskich i trenerami i najwybitniejszymi sędziami na czele, zdobiją wystawy wielu centralnych ulic. Na Rakoczego — Hon-

ved, na Lenina — jedenastka narodowa z węgierskim Pele — Farkasem. Tam znów widać odeszłe gwiazdy — Bozsika i Puskasa, którzy zakończyli swe kariery w obcych klubach zawodowych i stanowią dla wielu wyrzuty sumienia. Tak, nadzieje muszą odżyć, i zapewne przyjdzie dzień, kiedy węgierska piłka wyskoczy znowu na wyżyny a węgierski kibic odetchnie i podniesie swój odbiornik rozbity z gniewem o drzewo.

3.

Wraz z końcem meczu, zaczyna się odpych tłumów z Wyspy Małgorzaty. Brak już chęci na dalszą zabawę; zresztą — jutro poniedziałek, dzień pracy... Czarci młyn krąży nieprzerwanie okupowany przez bezroszkich turystów. Oni przecież nie przegrali. Powodów do zmartwień nie mają.

Dwóch Polaków złośliwie komentuje mecz chorzowski.

— Powinnością wygrać!
— Jasne!
— Sadka zabrakło, by im pokazać...
— Lentner grał słabo, ślamazarnie, kudy mu do Liberty.

Już mają przejść na temat Wyścigu Pokoju, który ruszy niebawem z Pragi, kiedy podchodzi do nich Węgier słuchający dotychczas na uboczu.

— Polacy?

— Tak — odpowiadają — Polacy. A ty?

— Ja Madziar.

— I umiesz nasz język?

— Umiem — mówi i uśmiecha się szeroko.

— Kto cię nauczył?

— Jedna Polka.

Przepadają wszyscy trzej węgierskimi „symphoniami”. W rozmowie jeszcze raz pada Chorzów, jeszcze raz słychać nazwiska piłkarzy — Lentnera, Lubańskiego, Farkasa.

— Powinnością ten mecz wygrać — mó-

wi Madziar. — Oglądałem transmisję telewizyjną. Byliście lepsi.

Tamci cieszą się jak dzieci. Ja też, który niedyskretnie słucham z boku. Widzę, że Polacy biorą Węgry w środek i odchodzą w stronę restauracji. Będzie z tego butelka wina. Jak nie.

Ponieważ jest późno i do domu daleko — zagraniczni goście opuszczają Vidapark. Czarci młyn ustanie niebawem. Do następnego wieczoru.

Morze pieszych płynie Wyspą Małgorzaty do mostu Gustawa Eiffela (tego od paryskiej wieży) skąd drogi rozchodzą się do Budy i Pesztu, do hoteli, pensjonatów i kwatery prywatnych.

Na moście znowu wpadam na Polaków. Są głodni, przykurzeni, nie mają gdzie spać. Celem ich wędrówki jest dworzec.

— W hotelach próbowaliście? — pytam.

— Próbowaliśmy.

— I co?

— Nie ma miejsc.

— Chodźcie do Continentalu. Tam jest trzech młodych portierów. Wszyscy mówią znakomicie po polsku.

Posłuchali mojej rady.

W recepcji był akurat Andrzej.

— Kogo przyprowadziłeś — zapytał.

— Polaków — mówię. — Nie mają gdzie spać.

— Ech, Lendziele, Lendziele — zaczął utyskiwać. — A na ile dni?

— Na jeden.

— Dobrze — zgodził się portier i podał chłopakom meldunkowe kartki.

Ale oni cofnęli ręce.

— My się jeszcze rozpatrzmy po miesiącu — powiedział ten bardziej zakurzony, i wyszli...

— Nie mają chyba pieniędzy — próbowałem ich tłumaczyć.

— Mogli od razu powiedzieć. Bym ich u siebie przespał, w służbowce.

ANDRZEJ MAKOWIECKI



Andrzej Drab jest wyjątkowo przystojnym mężczyzną — jednym z tych, na których nie tylko własna matka patrzy z miłym zachwytem we wznieśionych oczach. Jest wysoki, ciemnowłosy, ciemnonoki, o wąskim garbatym nosie i ozerwonych wargach, które oceniają czerniony wąsik. Porusza się z miłą niedbałością na elastycznych, nieco przygiętych nogach, wypinając przy tym ów dowód życiowego powodzenia — wypielający ponad pasek spodni brzuch.

Dzisiaj do Andrzeja Draba zwracam się przez „Panie Dyrektore”, lub „Panie Szeffie”, a przecież nie tak dawno jeszcze nie wahalem się wołać „Panie Drab”, lub po prostu „Drab do szefowej”! Andrzej Drab posiada coś nieuchwytnego, jakiś dziwny urok, czar, którym zniewała sobie nie tylko serca kobiet. Wszystko co robi pełne jest jakiejś lekkości, poetycznego uroku. Wszystko wydaje się łatwe, wynikające z samej istoty zjawiska, z samej sytuacji. Nawet jeśli jest to pożyczenie setki, co dla starego człowieka nie jest bladością, czy, jak dawniej, namówienie kolegi na zamianę terminu urlopu, nawet w tych przypadkach dopiero długi po rozstaniu się z Andrzejem ulatujący jego urok pozwala zorientować się jak sytuacja wygląda naprawdę. Po kilkuletniej znajomości Andrzeja skłonny jestem sądzić, że potrafiłby on każdego z was nakłonić na zamianę górnej lub dolnej szczyki, nawet jeśli by wasza nie była sztuczna szczyka.

Choć może już teraz nie. Może teraz Pan Dyrektor po prostu zażądałby tego nie siląc się na oczarowanie. Tak... Gdy zastanawiam się nad tym głębiej zaczynam sobie zdawać sprawę, że Andrzej w ciągu tych ostatnich trzech lat uległ dziwnej przemianie. Może zresztą nie tyle Andrzej co jego obraz w naszych oczach? Teraz dopiero widzę, jak nieomal z dnia na dzień owa czarowna, poetyczna aureola, cudowny urok tego młodzieńca przyciemnia, dogorywa jak żar zapomnianego ogniska, czy blask spadłego meteoru. Andrzej Drab już nie jest meteor; jego lot został skończony. W pełnym blasku wleciał na szczyt biurowej kariery i... spodobało mu się. Zaczął rozsiadać się coraz lepiej, wygodniej. Nie zdając sobie z tego sprawy zaakceptował sytuację istniejącą tak dalece, że stracił możliwość dostrzeżenia innych celów-szczytów. Postanowił więc za wszelką cenę zatrzymać status quo do końca — emerytury lub śmierci.

Pamiętam, kiedy Andrzej Drab pierwszy

raz przyszedł do biura. Pamiętam, kiedy przygarbiony czekał przed drzwiami... Lata minęły lecz wciąż mam przed oczami tamten obraz pełnego pokory i szacunku młodego człowieka, który w uśmiechach i ukłonach wchodził do gabinetu szefowej. Właśnie szefowa. Przecież to właśnie ten dzisiejszy list... To przez niego cała ta historia na nowo stanęła mi przed oczami, ożyła tak, jak czasem od lat zapomniana wona perfum przywoła obraz kochanki, tak żywy, że stał przed człowiekiem w kwiecie swych wdzięków, w melodii głosu, wabiąc brzoskwińowymi miękkościami... Ot i co to się staremu roli...

Szefowa była już szefowa nim przyjechała do miasteczka. W biurze mówiło się o niej i do niej jedynie przez „Szefowa”, czasami dodając przez szacunek „Pani”. Szefowa sama dawała do zrozumienia, że ta forma najbardziej jej odpowiada. Trudno zgadnąć ile w tym było chęci nieustannego podkreślenia stosunku służbowego, a ile niechęci do własnego imienia. Opowiadano, że jako dziewczynka nieustannie miała przykrość z racji swego imienia; imienia dziwnego, przez złośliwość chyba samą nadanego przez rodziców: Parmezana! Trzeba było przyznać, że takie imię kuźni do złośliwych przytyków i przekręcań. A kiedy wzdardała i nieprzystępna dorosła lat panieńskich, Karol, największa fujara, zdobył bez boju jej względy z szacunkiem i miłością wyszeptując to jedno słowo: Parmezano! Wtedy biedaczka pierwszy raz słyszała je poprawnie wymawiane przez kogoś innego niż rodzice. A nazwisko...

Pamiętam na pewno dowcip sprzed kilku lat: „Przy panu X okno można zostawić otwarte. Nie orzeł, nie wyleci”. Kiedy w czasie dorocznego, uroczystego imienin szefowej największy lizus, i leń biura, pan Tomcio S. (nomina sunt odiosa) opowiedział go głośno wobec całego zgromadzenia, myśleliśmy, że ja za przeproszeniem szlag trafił. Pan Tomcio natychmiast zresztą złożył rezygnację z pracy „na własną prośbę” okazując tym znacznie więcej rozsądku niż go o to posadzałem. Aha, nie rozumiecie co się stało. Szefowa, po Karolu nazywała się Jaskuła (przez „u” zwykle, bo nie ptak). Zrozumielśmy wtedy, że nie tylko imię stanowi dla nas tabu.

Gdy Andrzej Drab pojawił się po raz pierwszy w biurze, szefowa była duża, rozłożystą kobietą w kwiecie wieku. Złośliwi

mówili już wówczas, że jest to kwiat o maksymalnie rozwartych płatkach, z resztką nadziei czekający na swego motyla, ale przecież i zupełnie rozwinięta róża ma swe uroki. Nieszczęsny Karol nie zdołał spić pierwszych miodów z rozkwitającego paka, gdy rozdrapał krostkę na nieczystej części ciała dostał zakażenia, a że z natury był skromny i o delikatnych uczuciach zanim Parmezana zorientowała się w sytuacji, było za późno.

Potem przyszły lata wojny i choć motyli było wielu, brak było złota na pretki klatki. Potem przyszły lata powodzenia i sukcesów. Sprawiedliwie trzeba przyznać, że sukcesy szefowej w tym okresie były zasłużone. Pracy poświęciła całą energię wielkiego, krwistego ciała, wszystkie myśli i uczucia. Och, trzeba było ją widzieć jak z niedbale, w rozlatujących się wezle, zawiązanymi włosami z ustami powalanymi kopolowym ołówkiem prowadziła naradę... Albo jak własnymi rękami naprawiała taboret, który nie wytrzymał impetu z jakim go przysiadła. A owe styczne kontrole, dzięki którym miano „nowa miotła” zostało szybko zamienione na „bicz boży”. Ani iza, ani klatwa, ani wódka (a szefowa lubiła wypić!) przystępu do niej nie miały. Gdzie miała wtedy szukać swego motyla? Młodzi byli zbyt młodzi, dojrzali żonaci, a tacy starcy jak ja... tfu, na psa urok! I wtedy pojawił się Andrzej Drab.

Drab oczarował ją, omotał, stał się człowiekiem niezbędnym. Był subtelny, uczynny, był idealnym słuchaczem narastającej w tym okresie lawiny utyskiwań. Wiedział kiedy delikatnym słówkiem ugłaskać, kiedy podbechtać. Fawory zdobyte wykorzystywał jedynie do powolnego, a nieustannego wspinania się po drabinie kariery biurowej. Co było między nimi? Wydaje mi się, że wasze domysły są zupełnie fałszywe. Różnica wieku i stanowiska spowodowała, że szefowa w stosunku do Draba przybrała pozę patronki (by nie powiedzieć matki) i choć z czasem może by i chciała to zmienić, nie potrafiła.

Od lat nie miała rodziny i częste wieczorne opracowywanie sam na sam z Andrzejem Drabem wyników kontroli, czy przygotowywanie sprawozdań terminowych przy „filizancie herbaty” było czymś w rodzaju nabożeństwa odprawianego na ołtarzu Vesty, odprawianego może nieco bezprawnie, może nieco ukradkiem. Sądzę, że ani on poruszający się w centrum swego obłoku czaru, ani tym bardziej ona, nie zdawali sobie sprawy z budzącej się intymności, która wykraczała poza strefę stosunku służbowego. Intymności wiodącej w ślepy zaułek. Powstająca sytuacja z góry przesądzała późniejsze losy bohaterów. Już wtedy czułem, jakimś psim instynktem uważnie obserwującym życie starucha, że zakończenie historii tych dwojga to jedynie sprawa czasu i formy.

Na owo zakończenie przyszło mi czekać jeszcze prawie dwa lata. W tym czasie z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc sytuacja w biurze stawała się coraz bardziej napięta. Szefowa coraz mniej czasu poświęcała sprawom bezpośrednio z nim, tj. biurom, związanym i jakby uciekającą, uciekając od atmosfery wywołanej żaskiskacją się peła okoliczności, rzuciła się w wir pracy społecznej. Brała udział w akademickich, otwartych, zjazdach i konferencjach, organizowała spotkania i odczyty, reprezentowała, witała i żegnała — stawała się sławną. Zaczęła nawet dbać o swój wygląd — ufarbowała kiedyś włosy na kaszlanowato-rudy kolor, dzięki czemu woźny nie chciał jej wpuścić wieczorem do biura, gdy przyszła po jakieś papiery — po trzy-nastoletniej znajomości — nie poznał!

Spotkania z Andrzejem Drabem były znacznie rzadsze i przypominały sparringi bokserów. Może dopiero teraz zaczęła zdawać sobie sprawę z absolutnego tragizmu sytuacji. Może owe utarczki słowne, owe kuczowe zaciśnięcie ust, palenie papierosa za papierosem, szybkie zaplatanie i rozplatanie rak, owa ukryta (niezbyt głęboko) pasja miały być dla niego sygnałem alarmowym, na który zadowolony z coraz wygodniejszego gniazda, uwitego przy jej pomocy, nie chciał reagować. Nie chciał choć sytuacja stawała się dlań nieprzyjemna i dwuznaczna, zwłaszcza od czasu, gdy zaczęła u nas pracować panna Micia. Nie chciał, choć może jeszcze wtedy były jakieś szanse ratunku...

Dzięki społecznej pracy szefowej od czasu do czasu korzystaliśmy z mikrobusiku wypożyczonego na jeden, dwa dni przez Bardzo Ważną Instytucję w naszym miasteczku. Udawaliśmy się wtedy „rodzinnym gronem”, jak mawiała szefowa „na wycieczkę w Polskę”. Na te okazje szefowa wkładała szerokie, welwetowe, zielone spod

nie i czerwony sweter z golfem, podobno ofiarowany przez Andrzeja Draba. Jakkolwiek zawsze zwracaliśmy się do niej przez „szefowa”, w tych przypadkach nie miało to posmaku zależności służbowej, a jedynie pełnego szacunku zbliżenia, czolobitnej pułatości.

Przed trzema laty 22 lipca przypadał w piątek i szefowa postanowiła, że mając trzy dni wolnego czasu wybierzemy się w góry; do Zakopanego, Bukowiny, Morskiego Oka.

Minęło już ćwierć wieku z okładem od mych ostatnich tam odwiedzin. Powoli szedłem kroczyć wzdłuż brzegu jeziora, wspominając dawne czasy, lata które minęły, ludzi których już nie ma. Chyba mnie też już nie ma? Tamten człowiek wierzący w powodzenie, jasność spojrzenia, rzetelność, traktujący młodzież i siłę jako coś danego na zawsze, tamten człowiek gdzieś przez te lata zniknął, rozwiął się jak te wypływające spoza Miękusowieckiego Szczytu bładawe obłoczki, rozpełzające się nie wiadomo jak i kiedy. Skreśliłem w ścieżkę wiodącą ku Czarnemu Stawowi. Góry jedynie pozostały niezmiennione, zapamiętany obrys grani, ciemne zwierciadło Stawu, przyciągała zieleń kosodrzewiny. Usiadłem z dala od gwaru turystów stłoczonych na morenie.

Zdarzenia następnych kilku, czy kilkunastu minut następowały tak szybko, lub może tak często do nich wracałem myślą i w mej pamięci zostały zastąpione przez obraz wtórny, że trudno mi teraz składować to i logicznie przedstawić.

Po przyjeździe do Morskiego Oka szefowa wraz z resztą wycieczki poszła „na piwko” do schroniska. Kiedy siedziałem nad Stawem cała ta rozbawiona grupa zjawiała się nagle. Andrzej Drab dostrzegł mnie pierwszy i z okrzykiem „Patrzcie ten grzybek już tu!” (grzybek powiedział, miły chłopak) skierował się ku mnie, a za nim pozostali. Chwilę siedzieliśmy razem na skraju kilkumetrowej przepaści rozmawiając. W dole rytmicznie chlupotała woda. Ktoś zaproponował by się opalać, inny by umyć się w Stawie. Powoli towarzystwo rozeseło się.

Andrzej, Micia, szefowa i Tadeusz Wiz przedarły się przez kosówkę zabawili się puszczaniem kaczek po wodzie, usiłowali mnie siadającego nad nimi ochlapać, wreszcie Andrzej znudzony zabawa wspiął się kilkoma susami po skałę i położył się obok. Po chwili panna Micia poszła w jego ślady na dół szefowa z referentem Wiz rozpoczęli jakąś poważną rozmowę.

Znow zapatrzyłem się na góry, wróciłem do wspomnień. Raptem usłyszałem krzyk, krótki, rozpaczliwy, zdławiony. Metr, może dwa metry poniżej zobaczyłem osłupiałą i martwą z przerażenia twarz szefowej. Jej ciało z wzniesionymi do góry rękami, w półobrocie, jak odepchnięta po skoku tyczka, przeraźliwie wolno odchyliło się od skały i w zupełnej ciszy runęło głową w dół. Kiedy dobiegaliśmy, krew z wielkiej rany stanowiącej niedługo jej twarz zdołała zabarwić przejrzystą wodę Stawu. Szefowa była nieprzytomna, tętno niewyczuwalne.

Wielokrotnie zastanawiałem się później, jak do tego doszło, co było przyczyną wypadku. Gdyby spadła na nogi, gdyby skończyła, w najgorszym razie skończyłoby się na złamaniu kończyn. Ta niema, bezwolna figura spadająca głową w dół, ręce martwo wyciągnięte do góry, bo tak stała, gdy coś się zdarzyło... Czy może zobaczyła coś? Czy może kamień urwał jej się pod ręką? Dawniej ludzie mówili: „zobaczył swego ducha” albo po prostu „przysła jej pora” i chyba jest w tym coś prawdy.

Od tamtego dnia minęły trzy lata. Andrzej Drab jest „Panem Dyrektorem” a panna Micia „Panią Dyrektorką”. Te trzy lata szefowa spędziła w szpitalach; potowię pierwszego w Zakopanem a dalsze leczenie w zakładzie psychiatrycznym w Bolesławcu. Doznany wstrząs wprowadził tę energiczną kobietę o wielkim cielem w stan zdziwienia, ztracenia świadomości miejsca i czasu. Mówiła jakając się i placząc słowa. Jej twarz pozbawiona nosa straszła czerwona, połyskliwa, pawlania blizna.

Przed kilkoma miesiącami opiekujący się nią lekarz napisał: „Chora czuje się lepiej. Można teraz oczekiwać szybkiego powrotu do zdrowia”. Do nas oczywiście napisał, do nas, do biura, no bo do kogoż by innego. Pan Dyrektor nawet się ucieszył: „Ho, ho, szefowa to żywoty człowiek” — powiedział. I dzisiaj ten list. Nawet nie telegram a jedynie zwykły list, zawiadamiający, że szefowa nie żyje. Nikt nie był na pogrzebie. A zresztą czy był tam jakiś pogrzeb?! Pochowali w nieświęconej ziemi i tyle.

Bo szefowa się powiesiła. Na pasku własnego szlafroka się powiesiła...

HENRYK HARTENBERG

W WIDNOKRĘGU SNÓW

I

Wyruszę do granic niewidzialnych światła
Może po drugiej stronie wiatru
Gdzie rzeki ciemnieją od brązu nieba
Dotknę lekliwą pamięcią odprysków czasu
Może właśnie z popiołów wyobraźni
Wydzie naprzeciw drzewo oliwne

II

Myślałem — moja dłoń podtrzyma niebo
Rozchwiane nad dachami wypalonych ulic
A to ślepy ptak zawieszony w próżni
Szuka w środku dnia serca świata
Ale to nie moja ręka obejmuje niebo
To ptak niesie swój gniew w odchodzący horyzont

III

Dokąd więc zmierzam rysując w powietrzu
Skrzydlate ptaki płynące równiną
Dni rozproszonych napełnionych ziarnem
Ciszy w której pionie oczekiwanie
Dokąd zmierzam niosąc swą nagość
Przez milczące wieczory które głoszą wiatr

IV

Zagubiony w zauku pamięci
Wspinam się po stopniach dymiącej nocy
By falą zapomnianych odgłosów rzeźbić poranek
Bo on kroczy z mną ciężki jak wyznanie
A jednak wiem
Że zagubiony w widnokregu snów
Znowu cię znajdę
Zanurzoną w dzień
Który trwać będzie
W nas

PER ASPERA AD ASTRA

Nie wiedziałem że mrok odchodzącego nieba
Wraca wszystkimi rzekami świata
Nie wiedziałem że pamięć ma zarys dłoni
Zanurzonej w kropkach nocy
Nie wiedziałem że cień uwieczony w lustrze
Rysuje linię schodzącego czasu
Nie wiedziałem że sny jak głuche ptaki
Ocierają się o krąg rosnącej ciszy
Przywołując tchnienie wiatru
Dziś już wiem
Niedługo wieczór zaplonie
Gwiazda
Ku brzegom zejdzie

I OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL POEZJI

Dalszy ciąg
ze str. 1

preferowania przez Jury tematyki milenijnej.

Gwarancja sprawiedliwej oceny utworów konkursowych jest wyjątkowy skład jurorów, wśród których widnieją nazwiska pierwszych dziś w Polsce poetów, krytyków i historyków literatury, wnikliwych badaczy i znawców współczesnej poezji, a mianowicie: Jana Zygmunta Jakubowskiego, Jana Huszczy, Mieczysława Jastruna, Artura Miedzyrzeckiego, Juliana Przybosa, Juliana Rogozińskiego, Artura Sandaury, Stefani Skwarczyńskiej i Anatola Sterna.

Poza tym jako goście zaproszeni są do uczestnictwa w Festiwalu najwybitniejsi poeci, krytycy i redaktorzy



prasy literackiej zarówno starszej jak i najmłodszej generacji. Festiwal będzie więc okazją do osobistych kontaktów i wymiany zdań przedstawicieli różnych środowisk twórczych z całego kraju.

Konkursy jak wiadomo z anonsów prasowych dzieła się na: A — o tematyce dowolnej, B — o tematyce dowolnej, ale zastrzeżony tylko dla debiutantów, którzy dotychczas nie opublikowali jeszcze żadnego utworu, i C — o tematyce dotyczącej Łodzi i Ziemi Łódzkiej. Jednocześnie tych konkursów dale możliwości konfrontacji wszystkich biorących w Festiwalu sił i talentów poetyckich, tych do tychczas ujawnionych z tymi jeszcze dotąd nieznanymi. Właśnie Festiwal ma je wydobyc i skonfrontować ich możliwości z aktualnym stanem poezji polskiej. Wywodzi to, mam wrażenie, zanowidziany w programie Festiwalu wspólny występ autorów laureatów wszystkich trzech konkursów.

W odpowiednim i ścisłym związku z charakterem każdego z tych trzech konkursów pomyslane zostały trzy zasadnicze referaty dyskusyjne, jakie będą wygłoszone w pierwszym dniu Festiwalu: a więc Artura Sandaury na temat sytuacji w polskiej poezji współczesnej, Juliana Rogozińskiego na temat problematyki

poezji najmłodszej i Tadeusza Chróścielewskiego na temat łódzkiej tradycji poetyckiej. Dyskusja jaka się, należy mieć nadzieję, rozwinie około zagadnień poruszonych przez te referaty, znajdzie na pewno swoje odbicie w późniejszych sprawozdaniach z Festiwalu zarówno w prasie literackiej jak i codziennej, przyczyniając się niemało do wzbudzenia głębszego zainteresowania szerszej publiczności problematyką poezji w ogóle, a poezji współczesnej w szczególności.

Także Łódź, jako środowisko kulturalne na dorobku, środowisko jednak na tyle ważne, że działające przede wszystkim awansu społecznego, wszystkim wśród świętych zyskuje w tym Festiwalu godną swoją reprezentację i moralne wsparcie w swoich wysiłkach do coraz trwalszego ugruntowania i poszerzenia swych dotychczasowych, niezbyt wprawdzie dawnych i li cznych, lecz za to jakże nowoczesnych i nowatorskich tradycji i ambicji twórczych.

Właśnie w roku bieżącym mija sto sześć lat historycznie zaświadczonego ruchu literackiego w Łodzi. W latach 1850—1860 działał tutaj poeta, Wiktor Dłużniewski, który napisał pierwszy poemat historyczny o początkach miasta tkaczy pt. „Paweł Łodzian-Ku

bowicz”. Następny z kolei poeta, który mieszkał w Łodzi i pisał o niej wiersze w ostatnim dziesięciu lat zeszłego wieku to Artur Gliszczyński. Po nim przyszedł już rdzenni, bo urodzeni w tym mieście lub jego regionie poeci i powieściopisarze, piszący oczywiście o Łodzi, jak Tadeusz Miciński, Wincenty Kosiakiewicz, Antoni Szandlerowski, Wł. St. Reymont, Zygmunt Bartkiewicz, Tadeusz Nalepiński, Julian Tuwim, Jan Nepomucen Miller, Witold Wandurski, Aleksander Kraśniński, Mieczysław Braun, Jerzy Zawieyski, Kazimierz Sowiński, Rafał Len, Gustawa Jarecka, Światopełk Karpiński, Antoni Kasprzowicz — aż do obecnie mieszkających w Łodzi i piszących o niej pisarzy, z których niedługo (zwłaszcza z tych najmłodszych), znany jest już w całym kraju.

Warto jeszcze dodać na zakończenie, że chyba w żadnym innym środowisku kulturalnym naszego kraju nie zaznaczyła się taka jedność współdziałania rozmaitych rodzajów sztuk i dyscyplin twórczych, jak w naszym mieście. Mam tu na myśli przedwojenną grupę awangardy plastycznej w Łodzi z Władysławem Strzemińskim i Karolem Hillerem na czele, działającą ściśle z awangardą poetycką w osobach Jana Brzankowskiego i Juliana Przybosa pod wspólną egidą „a.r.” (artystów rewolucyjnych).

Sadzę, że I Ogólnopolski Festiwal Poezji w Łodzi nie tylko przypomni o tych zaniechanych i nadal inspirowanych tradycjach kulturalnych naszego miasta, ale także przyczyni się do ich umocnienia i dalszej twórczej ich kontynuacji.

MARIAN PIECHAŁ

ANDRZEJ NADOLSKI

W dawniejszych, ilustrowanych podręcznikach historii średniowiecznej można było napotkać obrazek o takiej, mniej więcej treści: Biskup we wspaniałych liturgicznych szatach otoczony licznym orszakiem duchowieństwa chrzci kłępczącego przed nim barbarzyńskiego wodza. Scenę tę podziwiała gromada kudłatych dzikusów odzianych w skóry wilcze i niedźwiedzie. Z prawej strony — powalony pokraczny bałwan pogańskiego bożka, oplakiwany przez wiernego kapłana (starszawy jegomość w długiej nocnej ko szuli, na głowie — wieniec, pod pachą — gęśliki). Z lewej — uczony ksiądz pokazuje w wielkiej księdze litery chciwemu wioźdzy czy dziłkiemu pachołci. W głębi — para wołów, poganiana przez zakonnego braciazka ciągnie plug złojący pierwszą brzdę w dziewiczej przyszy. Ponad wszystkim gorąją wznoszone właśnie zreby kamiennego kościoła.

Podpis pod obrazkiem może być różny: chrzest Chlodwiga, chrzest Widukinda saskiego, czy też wreszcie chrzest Mieszka, księcia Polski. Myśl powtarza się ta sama: dopiero przyjęcie chrześcijaństwa i związanej z nim kultury łacińskiej wydobylał ten czy inny naród z mroków barbarzyństwa, zapewniał mu awans do grupy ludów cywilizowanych, prawdziwie europejskich.

Nieraz zastanawiałem się kiedy właściwie ukształtowały się poglądy znajdujące wyraz w takich oto obrazkach. Nie wiem czy ktoś zbadał to zagadnienie. Ale podejrzewam że narodziły się one, a w każdym razie sprzyjały im ostatecznie nie tyle w czasach renesansu, może nawet w wieku oświecenia; słowem wtedy gdy ludzie uczeni przyjęli dorobek grecko-rzymskiego antyku za jedyny wzór obowiązujący, a wszystko co zrodziło się w krajach barbarzyńskich, na północ od granic Imperium uznali za godny po gardy plód ciemnoty, dzikości i zafowania.

Z czasem zaznaczył się sprzeciw. I nie jest przypadkiem, że zaznaczył się w latach romantyzmu, skłonnego do rehabilitacji rodzimej, tradycyjnej kultury. To nowe stanowisko już na początku nie było wolne od emocjonalnych obciążań, niebezpiecznych bo grozących niekiedy skrzywieniem obrazu w drugą stronę; prowadzących do bezkrytycznego przekreślenia wpływu chrześcijańsko-łacińskich jako obcego i wrogiego wtrętu, do ślepego gloryfikowania własnej, zapomnianej, a rzekomo niezwykle świetnej przeszłości.

Tendencja ta zaczęła świecić szczególne triumfy w hitlerowskich Niemczech, otaczających bałwochwalczym kultem „pragermańską” spuściznę. W różnych wydmawstwach popularyzatorskich, liczących w III Rzeszy, aż nadto często spotykamy wymagane nowe sceny z germańskich wieców świąt i pogrzebów. Można tam podziwiać wspaniałe stroje, godne miny, imponującą postawę i — chciałoby się powiedzieć — nienaganny „dryl” rosnących, niebieskookich blondasów (fnych próżno by szukać na tych obrazkach), maszerujących w trójkowym szyku lub tkwiących bez ruchu w charakterystycznym „laneknechtowskim” rozkroku. Aż

dziw, że ze stronic książki nie bije wyrezyserowany, rytmiczny ryk: Siegl Heill Istny Parteitag, albo... Wagnerowska opera.

My romantyzm mamy już za sobą. Wolni też jesteśmy od kompleksów niższości wymagających rekompensaty w postaci mitu o rodzimym nadczłowieczeństwie. Stać nas na beznamiętne, obiektywne spojrzenie w przeszłość.

Nie jest ona tak prosta, jak się to zdawało autorom obydwóch schematycznych rekonstrukcji: „filolacińskiej” i „filobarbarzyńskiej”. Nie możemy bowiem zapominać, że chrystianizacja nie oznaczała bynajmniej przekreślenia całego wcześniejszego dorobku kulturowego.

Pomijamy tu znaną i uznaną rolę chrześcijaństwa jako ideologii sprzyjającej formo-

Dwa nurty

waniu i utrwalaniu monarchii wczesnofeudalnej. Pomijamy jego decydujące znaczenie dla ugruntowania prawnej pozycji Polski w obrębie całej społeczności państw Europy łacińskiej. Zatrzymajmy się wyłącznie nad tymi elementami kultury, które poświadczane przez źródła materialne, są szczególnie bliskie zainteresowaniom (a i możliwościami badawczym) archeologów. Zaczniemy od architektury.

Polska przedchrześcijańska mogła poszczycić się niemałymi osiągnięciami w dziedzinie architektury drewnianej, zwłaszcza obronnej. Umocnienia grodowe na ziemiach Polan, Wiślan, Mazowszan, Pomorzan osiągnęły w połowie X wieku poziom bardzo wysoki. Ich późniejszy, jeszcze świetniejszy stan to rezultat rozwoju rodzimej myśli konstruktorskiej, sprawności rodzimego rzemiosła operującego z zupełną swobodą tradycyjnym budulem. Inaczej architektu-



ra murowana. Na przeważającej części obszaru polskiego brakło warunków sprzyjających wytworzeniu się w tej dziedzinie oryginalnej twórczości. Po prostu brakło odpowiedniej bazy surowcowej. Cała Polska centralna i północna dysponowała tylko kamieniem narutowym, a ten nie jest bynajmniej szczególnie wdzicznym materiałem dla architektki. Nic dziwnego, że po przyjęciu chrześcijaństwa sięgnięto do gotowych wzorów

przedromańskich czy romańskich opartych na bogatej spuście antyku, który po wycięciu nadśródziemnomorskich lasów operował — rzecz jasna — kamieniem, mając go pod dostatkiem na każde zawołanie. Warto przy tym podkreślić, że niezależnie od rozmiarów programu architektonicznego pierwszych Piastów (dzięki stale mnożącym się odkryciom rysuje się on nam w postaci coraz to okazalszej), niezależnie od rozkwi naszego budownictwa romańskiego w XII w., jeszcze przez długie wieki drzewo pozostaje u nas podstawowym materiałem budowlanym. Dopiero wejście w powszechny użytek cegły w XIV wieku zachwyciło tę przetrwałą, a i tak wielkie budownictwo drewniane zaledwie teraz, na naszych oczach z wolna ustępuje z planu.

Wrzaz z architekturą kamienią, z rosnącymi aspiracjami i potrzebami kultu chrześcijańskiego i książęcego dworu, wkroczyła na nasze ziemie obca sztuka romańska. Jej „mówiwy”, przedstawiający charakter bywa słusznie przeciwstawiany rodzimemu stylowi preferującemu w zasadzie wątki silnie zgeometryzowane. Wartościowanie trudne jest i w tym wypadku. Aparaty kościelne z Tyńca i Tumu Łęczyckiego, kolumny ze Strzelna, płyta Wiślicka, brązowe drzwi z Gniezna to na pewno dzieła wysokiej klasy. Ale i twórczość tradycyjna, zwłaszcza w dziedzinie zdobnictwa może pochwalić się nie być jakim poziomem. Wymienimy tu choćby biżuterię srebrną wykonywaną u nas w technice filigranu, hafty na trzewikach z Opola i Gdańska, ozdoba broń i inne liczne przedmioty z metalu, rogu i drewna dające chlubne świadectwo artystycznemu zmysłowi i technicznej biegłości swych twórców.

Z łacińskiego Zachodu zapożyczyli nasi przodkowie wszystko co łączyło się z ważną dziedziną słowa pisanego. Sytuacja kształtowała się tu szczególnie niekorzystnie dla twórczości rodzimej. Uznanie łaciny za jedyny język liturgiczny i „uczony” przez szereg wieków hamowało rozwój piśmiennictwa polskiego. Inaczej było na Rusi, gdzie nabożeństwo odprawiano po-słowiańsku, gdzie aby pisać i czytać wystarczyło poznać alfabet bez konieczności opanowania obcego języka.

Wpływy zachodnie związane z chrystianizacją, niewiele natomiast zaważyły na życiu gospodarczym naszych przodków. Nie utrzymał się dawniejszy pogląd o wielkiej roli jaką miały odgrywać majątki klasztorne w intensyfikacji rolnictwa (zakonnik z plugiem na naszym obrazku!). Trudno też dopatrzeć się poważniejszych obcych oddziaływań w rozwoju rzemiosła i handlu oraz w początkach urbanizacji kraju. Wydaje się zatem, że bezpośrednich skutków chrystianizacji możemy się doszukiwać niemal wyłącznie w dziedzinie organizacji państwa, sztuki i kultury umysłowej. W tym zakresie okazały się doniosłe, ale i tu nie wyparły miejscowego dorobku, nie zastąpiły go bez reszty. Obaj nurty: ogólnoeuropejski i rodzimy płynęły obok siebie uzupełniając się, wymieniając przetrwane wątki i wzbogacając wzajemnie swą treść aby wreszcie połączyły się w harmonijną całość wielkiej kultury polskiego średniowiecza.

SPEKTAKLE tygodnia

FILM			
WISŁA	„Pan do towarzystwa” 35 seansów	8.488	50%
TEATR			
NOWY	„Jeszcze raz o miłości” 1 spektakl	700	100%
	„Bliźniaki z Wenecji” 2 spektakle	1200	75%
	„Lato w Nohant” 1 spektakl	500	70%
	„Dozywocie” 1 spektakl	600	85%
	„Ali Baba” 1 spektakl	600	85%
NOWY MAŁA SALA	„Indyk”. 1 spektakl	200	100%
	„Drewniana miska”, 1 spektakl	200	100%
	„Anioł na dworcu”, 2 spektakle	200	50%
	„Lekcja, szaleństwo we dwoje”, 2 spektakle	200	50%
POWSZECHNY	„My fair lady”, 3 spektakle	1980	100%
	„Tango”, 2 spektakle	1300	98%
OPERETKA	„Noc w Wenecji”, 6 spektakli	5294	80%
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ	„Antygona”, 4 spektakle	1735	100%
	„Anioł na dworcu”, 4 spektakle	769	69%
FILHARMONIA	2 koncerty symfoniczne	670	50%
ESTRADA	Występy Zespołu Pieśni i Tańca „Kurpianka”. 2 spektakle	800	50%

Uwaga: cyfry procentowe oznaczają procentowy stosunek liczby widzów do ilości miejsc na widowni.

ALICJA LISIECKA

LAMUS I SZKOLNE LEKTURY

Niech już będzie. Wysoki Sądzie, przyznam się po latach do ósmego grzechu głównego. „Zwierciadło” Mikolaja Reja oraz „Wojnę Chocimską” Potockiego porządnie przeczytałem dopiero na uniwersyteckiej polonistyce. Gdyby ktoś był ciekaw dodatkowych szczegółów autobiograficznych, mogę dodać że w tym samym czasie miałam już za sobą „Krytykę czystego rozumu” Kanta i „Wykłady z filozofii dziejów” Hegla — nie mówiąc już o powieściach Jerzego Putramenta.

Z niejakim zadziwieniem odnalazłam w zupełnie niezłym na ogół projekcie programu nauczania języka pol-

skiego dla liceów ogólnokształcących oraz techników — nazwiska i książki, które wydawały mi się albo nazbyt albo przynajmniej klasyczne, jak na stary, poczciwy kanon dla nastolatków.

Żeby tylko „Zwierciadło” Reja, kiedy młody człowiek zaczyna dopiero wdrażać się w trudną sztukę czytania prawdziwej literatury... Ale co prócz tego mamy do ofiarowania wielbicielom czerwonych gitar Londona w najlepszym wypadku piosenek: Osieckiej? „Lata walki” S. Sowińskiej? „Pierwszy porwy” Fiedina, „Kolumbów” Bratnego?

Owszem, znam osobiście nie-

których autorów. Eloquentni, utalentowani, nawet sympatyczni. Tylko dlaczego od razu do klasyków, do lektur szkolnych, razem z Sienkiewiczem, Słowackim i Plautem?

Popatrzcie zresztą, Czytelnicy, czy można uznać za realny program, który proponuje przerobienie w klasie I liceum ogólnokształcącego całej literatury polskiej, a częściowo i powszechnej, od zarania aż do roku 1830? Gdyby mnie nawet przekonywał sam płk. Zbigniew Żatalski, że w programach szkolnych tradycja narodo wa jest absolutnie potrzebna, a redakcja „Wojska Ludowego” namawiała do wstawienia np. „Wojny Chocimskiej” na miejsce wolteriańskiego „Mikromegasa” — nie skapituluję.

Po prostu przy tym założeniu w klasie I nie ma miejsca — zarówno w lekturach obowiązkowych, jak i uzupełniających — ani na Potockiego, ani na Woltera (skąd, u licha, właśnie „Mikromegas”,

rzadka i trudno dostępna w Polsce pozycja), ani na „Zwierciadło” Reja.

Z Plauta zrezygnowali już na si przedziadów, mamy wybitniejsze arcydzieła współczesnej literatury radzieckiej niż Fiedin, nie wiem czemu wybrano do programu właśnie „Historię kokka w płocie” Kra szewskiego, opowiadania L. Tolstojego i G. Flauberta (konia z rzędem temu z nas, kto je czytał w wieku szkolnym).

Proponuję „odwyspiańczyć” program klasy II usuwając „Noc listopadową” i „Warszawiankę”. Przy takim przecięciu lekturowym starczy chyba „Wesele”. Z literatury obcej w klasie IV mam wątpliwości co do „Colas Breugnon”, uroczej książki dla smakoszy i biboszy, ale czy niezbędnej w kanonie, do którego nie trafiła np. opowieść o Tristanie i Izoldzie?

Muszę też przyznać, że zmartwiła mnie głównie część współczesna programu, służąca odświeżeniu w zestawie li-

teratury obcej, a nieco wykopalskowo — archeologiczna w kanonie lektur polskich. Czemu, z jednej strony, uznajemy ucznia klas licealnych za przygotowanego do czytania Faulknera i Camusa, Brechta i Hemingwaya, z drugiej zaś za niezdolnego do lektury np. „Sennika współczesnego” Konwickiego, dramaturgii lubianego przez młodego Mrożka, „Romantyzm” Brandysa (np. w dzwiny i niepojęty sposób autor ten zniknął w ogóle z wykazu lektur, nawet uzupełniających, w nowym projekcie programu).

Poza tym, skoro można wy chowywać młodzież na książkach o pokoleniu rozczarowanych („Kolumbowie” Bratnego) — czemu jednocześnie częstować ją jednym ze słabszych z opowiadań Iwaszkiewicza („Dziewczyna i gołębie” z lat pięćdziesiątych), skłócić znakomitej „Bitwy na równinie Sedgemoor” czy chwając pod korcem wspaniałe „Nowele włoskie”. Potrzebny

jest taki zestaw współczesnej literatury, który byłby reprezentatywny dla nurtujących ją tendencji. Np. w charakterystyce dramatu powojennego nie wystarczy już analiza twórczości Kruczkowskiego bez analizy pisarstwa Mrożka i Różewicza. Głosowałabym poza tym za reformą tradycyjnych metod poznawania historii dramatu. Czy nie czas wreszcie przestać „przerabiać” jako lekturę „Powrót pości” Niemcewicza lub „Niemców” Kruczkowskiego? Od czegoż przedstawienia teatralne i telewizyjne? Może by zamiast czytać dialogowane utwory, pójść raz w miesiącu całą klasą do teatru? Można w ten sposób uprzyjemnić i usprawnić nauczanie większości utworów Oświecenia i Romantyzmu.

Ale cóż... „Pomarzyć, pomarzyć, pomarzyć” — jak mówi piosenka. Czy też „pogwarzyć, pogwarzyć”, żeby było do rymu. A tymczasem matu ry tuż tuż. Gaudemus igitur!

STANISŁAW KASZYŃSKI

W TEATRZE NAD PROSNĄ

Kaliskie Spotkania Teatralne zdobyły już utrwalić swą pozycję wśród corocznych festiwali krajowych. Przybywają na nie głośnie zespoły Polskiej centralnej i południowo-wschodniej, mają swoich przysięgłych zwolenników, jak wszystko na świecie — mają również i przeciwników. To, że odbywają się od sześciu lat i stały się imprezą szczególnie hołubioną przez tamtejsze władze miejskie i wojewódzkie, rokuje im raczej długą przyszłość. Tak entuzjaści jak i krytycy muszą przede wszystkim liczyć się z tym stanem rzeczy, a dwójność ocen niczemu i nikomu, jak się wydaje, nie zaszkodzi. Teatry wyznaczają sobie co roku rendez-vous nad Prosną, w Kaliszu jest wówczas odświętnie i radośnie, potem goście się rozjeżdżają, już w domu — całe szczęście — komentują werdykt sędziowski, a jeśli cze potem pisze się i mówi to i owo. I wszyscy czekają na nowe spotkania, by za dwaście miesięcy przeżywać kolejną porcję wrażeń — gorzkich i przyjemnych. Tak być musi, jakkolwiek nie wszyscy biorą to pod rozwagę. Może i słusznie.

Zastanawiając się, myślać na marginesie tej imprezy, wypowiedzieć trzeba żal, że nie w Łodzi się odbywa. Mamy tutaj bodaj spójniejszy refleks, nie zbywa przy tym na inicjatywach, jeśli chodzi o organizację szerszych imprez teatralnych, tylko gorzej z działaniem; najważniejsze, że nikt się tym specjalnie nie kłopotuje. No, dopiero byłoby zamartwienie! W czasie ostatnich jubileuszów studenckich odbyły się rozgrywki piłkarskie między Łodzią a „Resztą Świata”. Nie mogę, tylko wymyślić, pociesznazadufkowa, wcale dowcipna zresztą nazwa mnie ubawiła. Chyba to parafraza, czyżby albo wydyt lokal-patriotyczny, doszł, że w czasie trwania kaliskiego przeglądu często łapałem się na operacjach porównawczych; jak my stoiny wobec „reszty świata”. W tym roku ta „reszta” prezentowała się skromnie, niż w ubiegłych latach: poza Poznaniem i quasi-stołecznym teatrem z prawobrzeżnej Warszawy (mówiono w kuluarach, że to teatr z Pragi, a nie z Warszawy), zjechały, jak zazwyczaj, teatry z mniejszych ośrodków: z Bielska Białej, Zielonej Góry, Gniezna, Lublina i z Kielc. Wystąpił, oczywiście, i gospodarze. Skurczyła się przeto po trosze skala porównawcza, zmniejszyła

się konkurencja, gdyż zabrakło równorzędniejszych partnerów. Te właśnie nierówności odzwierciedliło i ożrezenie jury; przytłaczająca większość nagród i wyróżnień powędrowała do Poznania i Łodzi. Dysproporcje te najogólniej już klasyfikują rozkład sił.

Gdyby do zademonstrowanej produkcji scenicznej przyłożył miarę ambicji repertuarowych, okazałoby się natychmiast, że w tej dziedzinie nie istnieją żadne różnice. Gra się Ionesco w Zielonej Górze, Racine'owską „Fedre” ogląda się w Gnieźnie. Pewnie się z tego faktu cieszyć wypada. Oznacza to, że ambicje nie są już artykułem delikatesowym, nawet tzw. dalsza prowincja teatralna upodabnia się w swoich zestawach repertuarowych do ekstraklasy. Nie jest to bynajmniej zjawisko najwyższej daty, od kilku lat dostrzegamy z zadowoleniem te tendencje — ku górze, a kaliski zjazd był tylko potwierdzeniem, Miałem kie dyś okazję mówić o tym cudzoziemcom, przytakiwali z szacunkiem. Nie powiedziałem się jednak wszystkiego, tego, że ostatecznym sprawdzianem wartości jest praktyka. Truizem, że ambicje narzucają określone rygory, zobowiązują, przypominają się w Kaliszu do znużenia, a przykładów znalazłoby się sporo. Choćby casus Ionesco. Autor niemal zadomowiony na polskiej scenie, opisywany po wielokroju i to ze swoista nam skrupulatnością, której daremnie oczekuje niejedyn z polskich dramatopisarzy; pamiętamy przecież o zasadzie tout proportion gardée. A jednak gdzieś jeszcze jakby nieznanym, skoro „odkrywa się” go na tyle samodzielnie, że przemawia innym językiem, relacjonuje nie swój własny świat. W najlepszym wypadku reżyser bądź scenograf — to „bądź” z punktu waloryzuje rezultat — coś wychwytuje z tekstu, zdaje się iść za inspiracją, czasem koncepcją autora, lecz interesujący pomysł, nawet określone założenie zamazuje się, łanie w miarę rozwoju gry, i rozwiązanie zaprzecza temu, co nam już powiedziano i pokazano, albo też nieoczekiwanie otwiera nową perspektywę — już jej nie widzimy, bo kurtywa. Przytrafiło się to m. in. w Krakowskiem, reżyserowi i scenografowi „Śmierci Tarekina” (Kielce). Skomponował przejmujące wnętrze; ze ścian spływała niesamowitość, i nęcza, rozpacz, i po-

nieźle, był klimat tamtego czasu i miejsca, ale nie było buntu i sztycherstwa Suchow-Kobylna, jego drapieżnej reakcji na rzeczywistość, na system. Ustalenie kontaktów między ludźmi, sfery wzajemnych stosunków, napięcie i uzależnienie, wprowadzenie hierarchizacji, tak ważnej i podstawowej czynności w organizacji życia scenicznego, decydują o przejrzystości wykładni postaw bohaterów. Nie wyłączenie w tym spektaklu zbagatelizowano te oczywistości. Moim zdaniem, to jedna z przyczyn, powodujących rozmaite peknięcia i zniekształcenia. A już nie dowiadajmy się sobie, że Tarekkin bez tych precyzujących określeń dochodzi tylko słabymi domysłami.

Jak przypuszczam, są to po prostu skutki niewspółrędności wielu elementów, na których opiera się sztuka teatralna, jak wiadomo — sztuka syntetyczna. Nie też dziwnego, że te niespójności objawiają się z taką ostrością właśnie i szczególnie na scenach mniejszych ośrodków, które rozporządzają nader zróżnicowanym co do kwalifikacji i smaku kolektywem artystycznym.

Jeszcze jeden przykład rozbieżności: spektakl bielskich „Dziadów”, w których znakomicie poprowadzona, bezbłędna, i czysta część obrzędowa przeobraża się w niespodziewanie w partię salonowych, które rozporządzają nader zróżnicowanym co do kwalifikacji i smaku kolektywem artystycznym.

Nie to wszakże wydaje się być niepokojącym sygnałem. I nie to niepokoi, że np. reżyser tak doświadczony, jak Józef Gruda, twórca oświecająco logicznego myślenia i czystego stylizacyjnie spektaklu łódzkiego „Kalluili” przywozi z Kielezami prowokujący wydumane, a wręcz nieudolnie zmaistrowane „Wesela”. Nie to nawet, że wyświadcza się niedźwiedzia przysługę pamięci świętego poety, Stanisława Piętaka, ożywiając jego „Bohatera bez chorości” (Gniezno); wprost ciężko pojąć, jakie względy znieśliły redakcję „Dialogu” do publikacji utworu.

Napawa trwoga fakt, łągodnie się wypowiadający, katastroficznie niskiego poziomu warsztatu aktorskiego. Nie wiem, czy tego stanu rzeczy nie należałoby tłumaczyć w ogólniejszym kontekście, tj. znacząco, widoma deprecjacja rzemiosła u nas, a więc fachowości, tej sumy sprawności, która składa się na dobrą robotę. Na ogół wszyscy mamy świadomość alarmującej sytuacji, lecz wiele wskazuje na to, że droga od usłowania, nawet zbiorowych, do ich użytkowania jest długa. Czy coś się robi? Wiem, że np. zaledwie kilka teatrów korzysta z konsultacji fachowców od dykcji, chwalebne miejsce zajmuje wśród nich teatr kaliski. Rezultaty są już widoczne. A przecież nie

wielkie to wydatki, szkoda, że nie korzysta się na co dzień z takiej formy szlifowania rzemiosła.

Sugestywność teatru to przede wszystkim wyrazistość postaci. Uzewnetrznia się za pośrednictwem ciała, przez ruch, poprzez głos. Opanowanie tych instrumentów jest niezbędnym warunkiem oddziaływania, i dewaluje się funkcje i cel sztuki teatralnej, jeżeli ledwie się kogoś słyszy ze sceny. Pocięta jedyna, że się chociaż widzi.

To właśnie główne grzechy. Powszednio? Tak, bo zdaliśmy się przyzwyczaić. I jedynie ich zmasowanie, możliwe na podobnych spotkaniach, pokazuje, jak bardzo są obciążone sumienia. Kilka wyjątków, wśród nich rewelacja spotkań, młodzieńki Wojciech Alaborski (Gustaw-Konrad z „Dziadów”), akcentująca jeszcze bardziej szarzyne tła. Pewnie dlatego i poznańskie i łódzkie teatry otrzymały tak wysoką notę, doprawdy błysnęły, bo i rzemiosło aktorskie tam przeciętnie lepsze. A przecież i w tych zespołach nie jest aż tak wzorowo i okazują powściągliwość w ocenach postępujemy nie bez racji.

Nie piszę tutaj o pożytkach festiwalu. Ale profity są. Np. ten, że poruszają one energię, zmuszają do zwiększonej wysiłku, mobilizują jeszcze bardziej ambicje. Nie w nagrodach czy wyróżnieniach leży, jak sądzi, ich atrakcyjność, lecz w możliwości weryfikacji środków i umiejętności. Czy kaliskie spotkania teatralne są wydarzeniem artystycznym? W omawianym aspekcie z całą pewnością, bo nikt nie podważa ogromnego znaczenia wychowawczo-kulturowego tej imprezy dla tysięcy widzów, mobilizują biletów na każdy łódzki spektakl; ze zrozumiałym drgnięciem serca skonstatowałem, jak wielka popularnością cieszy się tam Łódź teatralna. Toteż nieco przydłoby być słuchaczem komentarzy kaliszan, sprawujących mecenat opiekunów, na temat poazartystycznych popisów części zespołu Teatru im. S. Jaracza, który kilka godzin wcześniej tak owacyjnie był przyjmowany.

Najistotniejszy, z naszego punktu widzenia, jest kredyt zaufania, jaki publiczność kaliska rokrocznie składa łódzkiemu teatrom. Należy go dyskontować i ten moment winien również zachęcać wszystkich nasze sceny do uczestnictwa w spotkaniach. Gdyby ów wzgląd nie był wyścizajaco przekonywający, sama pokusa zmierzania się z innymi, sama okazja do konfrontacji powinna by skłaniać do takiej decyzji. Choćby konfrontacja „Tanga” z Teatru Powszechnego z innymi realizacjami, o czym mówiło się w różnych dyskusjach, dowiodła, że łódzki spektakl wytrzymał te próby zupełnie.

Czekamy do przyszłego roku.

KRONIKA

Antytelewizyjna

PRZEGLĄD POZYCJI

Skoro poprzedni felieton zawierał rozważania ogólniejszej natury, wypadłoby tym razem ograniczyć się do obowiązków sprawozdawczo-recenzentkich. Nie pomijając w dodatku i zaległości.

Zachęcano nas filmem „Zaloga” do nie gotowej jeszcze serii „Cztery pancerni i pies” według książki Janusza Przydomowskiego. Sceneria niemal londonowska, dzielni i szlachetni bohaterzy („Zaloga” ma szczęśliwie dobranych aktorów), nieprawdopodobne spłyty okoliczności, naturalnie wynikający humor, wreszcie pies — to w sumie każde z niecierpliwie oczekiwań d.c. Otrzymałmy sympatyczną odmianę filmu przygodowego, jakim nasz eastern, który w miarę posuwania się załogi z czołgu na zachód może stanie się naszym westernem. Oby!

Filmem, potracającym o ważką problematykę moralną, był następny z cyklu „Dzień ostatni dzień pierwszy”. „Nazajutrz po wojnie” według scenariusza Jerzego Krzysztonia, autora „Kamiennego nieba” i innych ambitnych utworów prozatorskich. Zagadnienie zemsty; wojna, w której tyłu żołnierzy było jak najbardziej zaangażowanych osobie, bo doświadczonych stratami rodzinnymi; sprawa „najtrudniejszego języka świata” — długo nie będą dawały spokoju uczciwym politykom i dociekliwym pisarzom. Film zasłynął w sprawie, ale nie odniósł wrażeń, żeby nowela szczęśliwie została przeprowadzona. Serwitu tej serii może nawet nie dają na to szansy. Istnieją zagadnienia i sprawy, które wolałoby inne potraktowanie.

Tęgo więc spowodu i dwuczęściowa sztuka z Teatru Senackiego, którą w ramach „właściwych” ramach (właściwie to nie ona, ale jej problem), aczkolwiek sama w sobie była dostatecznie intrygująca, dobrze przeprowadzona, choć z „puszczonym” zakończeniem. Przypadkiem przeczytałem kiedyś pamiętniki (nie drukowane) paru osób, które z tytułu wielecia polskiego ziem do Reichu znalazły się w wchmacie. Jakaś to była dramatyczna lekka (w ogóle należy z żalem zauważyć, że wbrew dużej ilości pamiętników i oracowań z lat wojny, wiele dość typowych — przeżyte, zwyczajnych z zasadniczymi wypadkami — jeszcze znajduje się w sferze półmroku, niedomówień lub milczenia). Pewne sprawy nie dają się ani do filmów przygodowych ani do teatru sensacji, grozi to spłycieniem.

Dobrze się tedy stało, że spróbowano udrumatyzować „Pożegnanie z Marią” Tadeusza Borowskiego, pisarza, jeśli chodzi o jego własną biografie, jakże nieszcześliwego. Borowski to pisarz okrutnej prawdy. Wśród jego czytelników i wielbicieli panuje przekonanie, że nikt nie potrafił tak jak on włączyć natrącających spraw XX wieku. Nikt w ich przedstawianiu nie miał aż ty-

le odwagi, zespolonej z drapieżną umiejętnością pisarską. Gdy się ukazywały jego poszczególne opowiadania obozowe, zarzucano mu nawet cynizm, co nie było słuszne. Wystarczył przecież przypomnieć, że pisarz, by nie stawać wyżej nad innymi, narratorowi nadawał własne imię, „Tworczyść”, gdy w 1946 roku drukowała „Dzień na Harmenach”, nawet uważała za stosowne się zastrzec: „Dlatego nie możemy się solidaryzować z sensem moralnym tych utworów, jeżeli zaś je drukujemy, to nie dla samej niepopolnej — wartości artystycznej”. Drukujemy, ażery zbrodniom niemieckim przeciwstawiać pełen naturalistycznej grozy akt oskarżenia, który ukazuje zarazę za wszczęciem w duszę ofiar!

„Pożegnanie z Marią” nie należy do tych najbardziej drapieżnych utworów Borowskiego. W dodatku adaptacja nie sprzyjała kondensacji zagadnień, których istotą jest zakwestionowanie wszystkiego, stworzenie sytuacji wyjściowej dla budowania moralności ludzkiej i społecznej od samego początku.

Z jednej strony naturalistyczna ilustracyjność, z drugiej — techniczno-trickowe — uzyskiwanie ekspresyjności — to wszystko nie nadawało treściom Borowskiego dostatecznej wymowy.

Mimo to, spektakl zmuszał do bolesnego myślenia. Spośród wykonawców należałoby wyróżnić: Ewę Wiśniewską, Idę Kamińską, Tadeusza Łomnickiego, Jana Swiderskiego.

Następujące tuż po przedstawieniu podziękowanie realizatorów dla toru wysięgowego i właścicieli tresowanych psów, należałoby wyrazić chyba przy innej sposobności. To nie pierwszy drażniący sprawą roznieżego rodzaju „przerywników” w TV, które stosuje się nie w porę.

Bardzo natomiast sprzeczne uczucia wywoływał w piszącym te słowa „Duet” według Kornela Makuszyńskiego. Chwilami wydawało się, że mamy do czynienia nawet z jakimś moralitetem, ale skończyło się na moralach, że „dobro”, że nie wypadać ze stylu, że miasto nie ma sumienia (co jest prawdą), że prawdziwy artysta ma wielkie serce... itd. Ostatecznie bowiem tak przed wojną popularny Kornel Makuszyński, to cieszący się zbyt wysoką rangą artystyczna sympatyczny felietonista i humorysta, lubujący się zwłaszcza w nędzy materialnej malarzy (wpływ jego upodobał widze i w naszel rzeczywistości), autor dobrych książek dla dzieci i młodzieży. Czy to mało? Dużo! Ale „Duet”, aczkolwiek usprawiedliwia go miejsce i czas — Teatr Niedzieln! — był chwilami po prostu rozwiłki. Myślę, że należało to potraktować mniej serio...

Gruntownie przetasowując kolejność, chciałbym zatrzymać się przy magazynie „Eureka” z Wrocławia, w którym wystąpił wybitny lekarz z wrocławskich klinik (prof. prof. Wiktor Bross i Zdzisław Wiktor) z relacją o pierwszym w Polsce przeszczepie nerki, udzielone siostrze przez brata. Ta spokojna i fachowa, aczkolwiek prawie w pełni dostępna dla ignorantów relacja, miała posmak wspomnianego rapatu włączającego kradzież o wielkiej i nieklamanej zawartości optymizmu!

Jan Huszarz

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



On — jest oficerem marynarki. Ze względu na służbę bywa tylko gościem w domu. Przyjeżdża raz na dwa tygodnie na jeden, dwa dni i — znika. Ona — jego żona prowadzi w liceum lekcje gimnastyki. Mają dwoje dzieci, uroczych i rozbrzykanych, podrosniętych już trochę chłopczków. Oto postacie dramatu psychologicznego, jakim jest film Ego na Guenthera „ZONA LOTA”. Jego akcja rozgrywa się współcześnie w jednym z miast wschodniemieckich.

Czy ludzie, którzy stali się sobie całkowicie obojętni mogą żyć ze sobą nadal jako małżonkowie? Czy kobieta ma prawo żądać rozwodu właśnie ze względu na to zubożenie? Oto naczelny problem, wokół którego obraca się cały film. Problem z całą pewnością interesujący, a także przy szerszym potraktowaniu go jako dyskursu o współczesnej rodzinie, o odpowiedzialności moralnej wobec drugiego człowieka, z którym kiedyś związało się swój los — potrzebny i istotny. I chyba ze względu na podjęcie tej właśnie problematyki film zdobył pochwał na gruncie niemieckim. Ton tych pochwał dziwi mnie jednak, gdyż w moim przekonaniu, jest to film

słaby, zaprzeczający możliwości, jakie stwarza taki zakres tematyczny. Film Guenthera nie oparł się niebezpieczeństwu, grożącym przy podejmowaniu tak subtelnych zagadnień. Mówiąc o tych sprawach sięga się przecież do tajników ludzkiej duszy, wydobywa to, co w życiu człowieka jest intymne i na ogół ukryte przed oczami osób z zewnątrz. I — chciałoby się tu przyznać raczej znanemu powiedzeniu, że — ilu ludzi, tyle prawd. Kiedy w grę wchodzi życie uczuciowe, psychika ludzka — nie ma prawd niemiennych i powszechnych. Dlatego wszelka arbitralność będzie w twórczych wypowiedziach na ten temat grzechem kardynalnym. I właśnie to najbardziej irytowało mnie w „Zonie Lota”, tym więcej, że stało się głównym źródłem uproszczenia, zwulgaryzowania problemu. Chwilami odnosi się wrażenie, jak gdyby ów dyskurs filmowy o rodzinie i miłości prowadził ludzie młodzieńcy, którzy nie widzą jeszcze tak naprawdę czym jest jedno i drugie. Znają to nie z własnego doświadczenia, lecz tym bardziej zacietrzewiają się w dyskusji, przekonani, iż głoszą światu prawdy ostateczne. Film dąży do ukaza-

nia z góry przyjętej tezy, że mimo teoretycznego równoprawienia, praktyczna emancypacja kobiet nie dokonała się jeszcze we wszystkich dziedzinach ich życia, brak jej przede wszystkim w życiu uczuciowym i seksualnym rodziny. I teraz wszystko naciągane jest do tej z góry przyjętej tezy. Małżeństwo Lotów czerpie argumenty w swym sporze także i z literatury: Diderota i Makarenki — w sposób, który prowokuje w końcu wśród widzów niezamierzona wesołość. Brak temu filmowi szerszych perspektyw myślowych, odrobiny zgorzknienia i sceptycyzmu, pobłażliwości i humoru koniecznych przy mówieniu o tych sprawach. Autorzy nie mogli zdecydować się na stworzenie postaci głęboko ludzkiej i prawdziwej, w ich przekonaniu jednak — jak się wydaje — mniej atrakcyjnej. Toteż żona Lota, matka dwojga dzieci w wieku szkolnym fika kozy i wykonuje ewolucje gimnastyczne jak młodziutka dziewczynka. Przeszła kochać męża, uważa że są wobec siebie ludźmi obcymi, lecz żyje wstrzemięźliwie jak święta. Garnie się do życia ucyfła i ludzi, ale innemu mężczyźnie nawet pocałować się nie pozwoli. I to ciągle

żądanie rozwodu ze względu na zubożenie obojga... Czyżby twórcy filmu naprawdę wierzyli tylko w miłość do grobowej deski? Skoro jej zabraknie, pozostaje tylko jedna droga rozwodu? I mądry jest ekranowy Lot, iż nie chce dać żonie rozwodu. Głupie tylko daje argumenty (guziki, skarpetki, koledzy w pracy, awans). Twórcy skazali go na przegrana. Jest więc Lot chwilami brutalny, nielojalny, tępy i zadufany. Wskutek prostackiego uporu swego męża, żona Lota — ucieleśnienie niezłomnej wiary w idee, czystej, nieklamanej miłości, wcielone świętości i niewinności — popętnia z rozmysłem kradzież, a wtedy on, w obliczu takiego upadku moralnego i skandalu, w obawie o swą pozycję i awans w pracy — sam występuje o rozwód.

Najbardziej nieznośny jest w tym filmie dialog. Nie ma końca gadaniu. I rysunek postaci — przesadny, schematyczny. Irytuje nawet sztyła grubymi niemi aluzja do mitologicznej żony Lota.

Mimo kilku ciekawych i dobrze podpatrzonych momentów jest więc „Zona Lota” filmem płytkim, nudnym, nieciekawym.



Tadeusz Chmielewski jest twórcą dwóch przeurocznych, przesyconych absurdalnym humorem komedii „Ewa chce spać” i „Gdzie jest generał”. „PIECZONE GOŁĄBKIE” są kontynuacją tego gatunku filmowego i tego typu komizmu. Z całego tryptyku są jednak najstarsze. Zawinił tu głównie rytm, tempo tego co dzieje się na ekranie. Akcja jest zbyt mało urozmaicona, powstają długie niebezpieczne w każdym gatunku, ale dla komedii — zabójcze. Jest co prawda trochę sytuacji naprawdę zabawnych, rozegranych w doskonałym tempie, zrobionych pomysłowo, dowcipnie, ze świeżością, w których

odnajdujemy dawnego Chmielewskiego, na dobrą sprawę jedynego twórcę komedii z prawdziwego zdarzenia we współczesnym filmie polskim. Ale jest ich za mało.

Jako postać komiczna Magdalena Zawadzka okazała się nijaka. Nie ma zresztą dużej roli. Głównym jej zadaniem był chyba ów strip-tease lazienkowy. I ta zdobnicza, ornamentacyjna funkcja udaje jej się wcale, wcale... Dobrą postacią komiczną okazał się Krzysztof Litwin — etatowy poeta, antytypacz z warszawskiej stacji pomp „gruba Kaśka”.

Cel „Pieczonych gołąbków” jest wyraźnie wychowawczy. Sam Tadeusz

Chmielewski mówi o swoim filmie „Zanika „dzikuję”, „dzień dobry”, „przepraszam”. Piękne polskie słowa, które straciły swoją powszedniość i stały się rzadkie, niemal odświętne uroczyste. Natomiast kwitnie i rozwija się kult kombinatorstwa. Kto nie umie kombinować, uważany jest za żywego fajfajkę i niedorajdę (...). Doszło już do tego, że nie potrafimy już odróżnić, gdzie kończy się kombinatorstwo, a zaczyna zwykła kradzież czy afera. (...) Dopiero gdy gdzie o miliony, podnosi się zwykły alarm. Jedna mała frubka nie budzi w nikim oburzenia. Staram się z mojej pukawki strzelać właśnie do ta-

kich spraw małych, zwykłych, codziennych. Staram się w moim filmie pokazać atmosferę miejsca pracy, w którym spędzamy bądź co bądź, pół życia. „Pieczone gołąbki” to temat produkcji. Temat, niestety, skompromitowany, ośmieszony i zdyskredytowany.

Chyba więc dobrze, że o tych sprawach mówi się w komedii. I śmiech niekiedy może być nauką... Może najlepsza? Szkodna tylko, że nie tak żywiołowy, nie tak czysty, nie tak serdeczny, jak w poprzednich komediach Chmielewskiego.

MARIAREL

Kto, co, kiedy?

relacje
medyskrepcje



Z WIZYTA U CONAN DOYLE'A

Któż nie pamięta genialnego detektywa Sherlocka Holmesa, bohatera powieści napisanych przez Conan Doyle'a?

Sir Arthur Conan Doyle urodził się 22. V. 1859 roku w Edynburgu w Szkocji, zmarł 7. VII. 1930 roku w Crowborough (Sussex). Był z zawodu lekarzem, synem urzędnika. Medycynę studiował w rodzinnym

celu zamku. „Jestem Conan Doyle, ostatni. Na mnie wygasa ród — powiedział. — „A oto mój asystent”. I przedstawił zdumionemu reporterowi mężczyźnego ucharakteryzowanego na dr Watsona.

Przez dwie godziny reporter oprowadzany przez syna pisarza krażył po zamkowych salach, oglądając dzieła sztuki i eksponaty bądź to autentyczne, bądź fikcyjne. Adrian Conan Doyle opowiadał reporterowi

wiedział Adrian — że o bohaterze stworzonym przez mego ojca napisano więcej książek niż o Napoleonie, Churchill i Szekspirze? To jest równocześnie wspaniałe i groteskowe”.

Wśród zbiorów znajdujących się m. in. w rekonis pierwszej detektywistycznej powieści sir Arthura Conan Doyle'a, gdy bohater nazywał się jeszcze nie Sherlock Holmes a Sherrinford, a w roli dr Watsona występował Ormond Sacker. Jest też korespondencja pisarsza z Oskarem Slaterem, oskarżonym niedługo o zamordowanie młodej kobiety. Conan Doyle interweniował w jego sprawie i uratował niewinnie posadzonego od stryżaka.

Na zakończenie wizyty, gospodarz zaprowadził reporterów do dużej sali, gdzie mieści się olbrzymi stół przywieziony z Wielkiej Brytanii z domu rodzinnego Conan Doyle'a. Przy stole tym zasiadali tacy sławni ludzie jak Dickens, Bernard Shaw, Disraeli, Thackeray, H. G. Wells, Walter Scott, Churchill i Kipling.



A oto jest dym z fajki, którą palił genialny detektyw Sherlock Holmes.

mieście, potem jako lekarz okretowy podróżował do Arktyki i Afryki zachodniej. Po roku 1890 poświęcił się literaturze. Stał się klasykiem literatury detektywistycznej, jego książki zostały przełożone na 88 języków, a bohater jego powieści, Sherlock Holmes, zdobył światową sławę.

W późniejszym okresie swego życia pisarz oddał się mistycyzmowi i spirytyzmowi. Muzeum wielkiego pisarza detektywistycznego znajduje się obecnie w Szwajcarii w kantonie Vaud, malowniczo położonym między jeziorami Genewskim a Jeziorem Neuchâtel. Jest tam w Lucens stary zamek, którego mury pochodzą z XVI w., a nawet część murów z XII wieku. Właścicielem zamku, a zarazem kustoszem muzeum jest syn pisarza Adrian Conan Doyle. Reporter naryskiego dziennika „Le Figaro” wybrał się na zwiedzenie owego zamku. Pierwsze co rzuciło mu się w oczy, to porożniane na ścianach stare zbroje, pan cerze, lance, arkebuzy. Zjawili się i sam właściciel

o przygodach Sherlocka Holmesa, to znów kreślił historię starego zamku, który należał poprzednio do biskupów Lozanny. Adrian w roku 1948 opuścił ostatecznie Wielką Brytanię, zabierając ze sobą wszystkie pamiątki po sławnym ojcu i jego rekonis. Podczas zwiedzania zamku Adrian Conan Doyle zaprowadził reporterów do pokoju urządzonego dokładnie tak jak mieszkał, we dług opisu jego ojca, wielki detektyw Sherlock Holmes. Pokój umeblowany jest w stylu tamtej epoki. Znajdują się tu wiele przedmiotów, będących „własnością” fikcyjnego bohatera, a więc jego fajka, okulary, wino w kieliszku, nie dopita herbata w szklance, rozłożona gazeta „Evening News” z datą 22 stycznia 1895 roku. Aby wrażenie było jeszcze bardziej kompletne zza okna dochodzą odgłosy Londynu i to z końca dziewiętnastego wieku.

Za oknem bowiem znajduje się urządzenie magnetofonowe i dźwięki płyną z taśmy, specjalnie w tym celu nagranej. — Czy pan wie — po-

A POLICJANCY NIE ODGADLI

Film zrealizowany według powieści Agathy Christie pt. „Dziesięciu murzynków” został wyświecony dla dziesięciu francuskich policjantów służby kryminalnej. Zaden z nich nie zgadł, na dziesięć minut przed końcem filmowego seansu, która z występujących w filmie postaci, okaże się przestępcą.

CO KUPIJE MŁODZIEŻ

500 miliardów starych franków, ta olbrzymia suma została wydana przez francuskich nastolatków na zakup 500 tysięcy gitar i dziesiątki milionów płyt muzycznych tylko w ciągu jednego roku.

NA OTWARCIU OPERY WSZYSTKIE BILETY WYKUPIONE

W dniu 16 września nastąpi otwarcie nowego gmachu Opery Nowojorskiej. Przedstawieniem inauguracyjnym będzie opera pl. „Antoniusz i

Kleopatra”. Jej kompozytor Barber, usłyszał niedawno w słuchawce telefonicznej kobiecą głos: „Przyrzekł mi pan kartę wstępu na premierę, chociaż wszystkie miejsca są już wykupione. Czy pan sobie nie przypomina?” Barber, który nieustannie odbiera tego rodzaju telefonów, spytał: „Ale kim pani jest?” „Jestem Jacqueline Kennedy” — brzmiała odpowiedź. Kompozytorowi, który zapomniał o danym przyrzeczeniu, nie pozostało obecnie nic innego jak zaprosić panią Kennedy do własnej łóżki.

DEUGOWŁOSY SPIE WAK

W telewizji francuskiej wystąpił ostatnio ubrany w kwieciste spodnie i z ogromną peruką na głowie piesniarz „Edouard”. Włosy te ważyły 4 kg i były długie na metr i trzydzieści centymetrów. Widzowie z początku nie mogli się do-

PODRABIANE HAŁASY

Muzyka konkretna operująca m. in. autentycznymi nagraniami hałasów może być pobita własną bronią. Na Za chodzie jest coraz więcej amatorów płyt z zarejestrowanymi hałasami. Nagrania te przez dłuższy czas służyły tylko specjalistom filmu lub

myśli kto właściwie jest tym śpiewakiem. Okazało się następnie że jest to Jean — Michel Rivat, syn dentysty, dwudziestoletni był piosenkarz, który nagrał dwie płyty, ale nie osiągnął większego powodzenia. Rivat był m. in. autorem i kompozytorem niektórych piosenek skomponowanych dla Brigitte Bardot, Marie Laforet i Joe Dassin. Edouard wystąpił tak ucharakteryzowany parodiując Antoine'a, Antoine, o którym pisaliśmy poprzednio, stał się ostatnio bożyszczem paryskiej młodzieży. Ten długowłosy (choć włosy opadają mu tylko na ramiona), występujący na estradzie zawsze w koszuli w kwiatki, śpiewak staje się dziś niemal prorokiem nastolatków, którzy caują go po rękach. Edouard na ekranach telewizyjnych pojawił się w peruce ze znacznie dłuższymi włosami niż Antoine i w krótkich spodniach w podobne kwiatki jak na koszuli Antoine'a. Śpiewał jego piosenki choć je parodiował. Antoine uznał, że owszem, występ Edouarda był zabawny, ale wystąpił z pretensją o naśladowstwo. Wydawcy płyt z piosenkami Antoine'a skierowali sprawę do sądu przeciwko Edouardowi o plagiat.

SZPITAL WEDŁUG PROJEKTU LE CORBUSIERA W WENECJI

W Wenecji ma powstać szpital według

projektu, jaki na krótko przed swą tragiczną śmiercią, opracował Le Corbusier. Budynek wzniesiony ma być poza centrum miasta, wspanięty na specjalnych palach, na skraju laguny. Gmach, którego wysokość nie przekroczy 13 metrów, zbudowany ma być w nowoczesnym i oryginalnym stylu, tak charakterystycznym dla twórczości Le Corbusiera. Projekt ze względu właśnie na swą wybitność nowoczesność miał wielu przeciwników, którzy twierdzili, że budowa tego rodzaju nie będzie harmonizowała ze starą architekturą miasta dołów. Le Corbusier (właśc. Charles Jeanneret-Grise) urodził się w r. 1887 w Szwajcarii. Jego twarz pod koniec życia przypominała twarz starego wieśniaka, a pionowe zmarszczki koło ust nadawały jej wyraz gorczy. Ta gorzność miała swe uzasadnienie. Bo wiem Le Corbusier przez wiele lat dobił się uczucia i sukcesu. Pracował początkowo w handlu i przemysłu, był następnie zegarmistrzem, rzeźbiarzem, projektantem mebli, pisarzem, pisał wiersze, potem urbanistą, współtwórcą funkcjonalizmu i wybitnym przedstawicielem tego kierunku w architekturze. Jego oryginalne pomysły urbanistyczne szokowały. Toteż był wykpiwany, ganiony. Do piero w ostatnich latach swego życia zyskał uznania i sławę.

okazało się, że wiele bliźniaków można po prostu doskonale podrabiać zepsuty kran przy wannie może doskonale imitować wizerunek jakiegoś startującego rakietą kosmiczna, a kroki na śniegu z ich charakterystycznym skrzypleniem można imitować stając na rozsypanym na podłodze ryżu.



Czy to pan podrabia hałasy?

POLONICA

„NOC GENERALÓW”

Niedawno na ulicach Warszawy znany amerykański reżyser Anatol Litvak kręcił fragmenty filmu „Noc generalów”, do którego scenariusz sporządzono na podstawie powieści Hellmutha Kirsta. Po powrocie do Stanów Zjednoczonych, Litvak udzielił wywiadu przedstawicielowi „New York Times”, w którym powiedział m. innymi: „Wydałem mi się, że nasz pobyt w Warszawie przyczynił się do lepszego porozumienia wschodnio-zachodniego.” W podobnym duchu wypowiedział się również kierownik produkcji filmu, który ponadto dodał, że pod wpływem rozmów z Polakami wprowadzono pewne zmiany do scenariusza.

WYSTAWY POLSKICH DZIEŁ SZTUKI

Jak donosi wychodząca w Düsseldorfie „Deutsche Volkszeitung” (z 13 maja br.), wkrótce zorganizowane zostaną w NRF dwie wystawy polskich dzieł sztuki. Jedną z nich — obejmującą 30 obrazów i 70 rysunków Canaletta — odbędzie się w Essen, a organizatorem jej jest Muzeum Narodowe w Warszawie. Druga wystawa, zaplanowana na czerwiec w ramach tzw. Festiwalu Zagłębia Ruhry obejmie „Ikony z Polski” i zaprezentowana zostanie w Recklinghausen. Na otwarciu tej drugiej wystawy przyjedzie do Recklinghausen grupa artystów polskich, m. in. Lidia Grychotówna z recitaleem utworów Chopina.



OPOWIADANIA O TEMATYCE POLSKIEJ

Zachodniemiecki pisarz, Gerd Gaiser, poruszający w swoich utworach beletrystycznych problemy winy i odwetu, wojny i zbrodni, wydał obecnie niewielki tom pt. „Aniela”, zawierający dwa opowiadania. Akcja ich dzieje się w Polsce, a bohaterka jednego z nich jest Polką imieniem Aniela. W utworze Polce kocha się Niemiec, ale z miłości tej nie wynika, gdyż bohaterka nie może zapomnieć Niemcowi win, jakich dopuścił się jego naród pod rządami hitlerowskim. Krytyka zwraca uwagę na niebanalne ujęcie tematu i odwagę w jego rozwiązaniu.

O NAS W „LITERARNICH NOVINACH”

Praski tygodnik literacki „Literarni Noviny” (z 7 maja br.) przyniósł kilka polonistów. A więc zapowiedź wystawienia w Pradze filmu polskiego „Beata”, następnie o mównice czesko-polskiego dialogu, poświęconego sprawom literatury, który odbył się w końcu kwietnia w Warszawie, wreszcie wiadomość, że w praskim Ośrodku Informacji Polskiej Wiktor Woroszyński mówił na temat poezji współczesnej. Woroszyński zajął się tym, co sam nazwał „kryzysem odbioru poezji”, a co wyraża się w zmniejszonych nakładach tomików wierszy i słabszym, niż dawniej, zainteresowaniu poezją. Również w tymże samym numerze znajdujemy fotografię Tdy Kamińskiej z uroczystości wręczenia jej nagrody filmowej.

POLONICA

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

W setną rocznicę urodzin Juliana Marchlewskiego odbyły się uroczystości we Włocławku, rodzimym mieście wybitnego przywódcy polskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego, uczonego i marksistowskiego.

Łódź uczciła patriotę uroczystą akademią; następnie na Starym Rynku, obok pomnika J. Marchlewskiego, odbył się wielki wiec ku czci tego, który i w naszym mieście działał.

WTOREK

Uroczystości Dnia Działacza Kultury.

Dzień Działacza jest co dzień, tak rzecz można, zważywszy, że poza określonymi zadaniami działacz jest organizatorem, propagatorem i często twórcą kultury.

Rozwijając swoją wrzawę i smak artystyczny — działacz bywa równocześnie, z racji swego temperamentu, przewodnikiem dla coraz liczniejszej rzeszy odbiorców sztuki; „tłumaczem” kultury w każdym mieście,

na potraktować jako przy czynę przemian, to rozwój świadomości estetycznej, światopoglądowej i etycznej musi zachodzić w późniejszym czasie — będąc skutkiem.

Oczywiście nie każde dzieło sztuki, (nawet najbardziej wartościowe), które powstaje współcześnie, jest współczesne w przytoczonym rozumieniu i takie książki wymagają mniejszego wysiłku i krótszego czasu w procesie ich upowszechniania. Jak widać z powyższego wygranie konkursu „Bliżej książki współczesnej” (Pierwsze miejsce w kraju i nagroda Ministerstwa Kultury i Sztuki) jest nie tylko sukcesem Biblioteki Wojewódzkiej w upowszechnianiu współczesnej książki, lecz również w przekazywaniu i przybliżaniu czytelnikowi wartości poznawczych naszego czasu.

Wśród trzech najlepszych w kraju bibliotek powiatowych znajduje się Miejska i Powiatowa Biblioteka w Radomsku. O pracy tej biblioteki miałem już okazję w superlatywach napisać w N.K. stawiając ją nawet jako przykład innym bibliotekom.

Dużo ukontentowania i gratulacje autorem zwycięstwa konkursowych.

CZWARTEK

Rok milenijny zaczyna spełniać rolę katalizatora w dziedzinie kultury. Mnogość imprez — różnorodność form, szerokość tematyczna, a przede

wszystkim powszechność, polegająca na docieraniu w najodległe zakątki kraju — jest potężnym uderzeniem: to rok oświecenia i ukulturalnienia społeczeństwa.

Zespoły, prelegenci, pisarze, malarze, bibliotekarze, pracownicy i aktywiści kultury, wszyscy włączyli się w ten ogromny nurt Roku Oświecenia przed nowym czasem, dążąc; bowiem dążenie do coraz wyższych form bytowania jest nieodłącznym dramatycznym zmaganiem człowieka z naturą i czasem.

Również łódzcy postawili w te dni Tysiąclecia przedostatnie, pracując w pocie czoła. Problemy społeczne, bytowe i kulturalne są nieodłączne ich spotkań z mieszkańcami Łodzi i województwa. Kultura jako taka i kultura na co dzień (problemy społeczno-bytowe), oto problem na dziś i na jutro.

„Uderzenie” roku milenijnego, jest nadzieją, o budzi w wielu jeszcze drzemających, myśl, że „nic, co łódzkie, nie jest nam obojętne”, że od dnia dzisiejszego zależy jutro, a rok jest jedną setną wieku.

PIĄTEK

Zatem podsumowywać zaczynamy — co przedwczoraj i wczoraj: „Tysiąclecie Państwa Polskiego”, konkurs czytelnicy — piękna ogólnopolska impreza, w której udział wzięło kilka tysięcy łódzkich uczniów i uczniów — zakończony.

Komitet konkursowy bardzo wysoko ocenił akcję oraz walory poznawcze i wychowawcze imprezy. KŁ FJN przyznał 49 nauzciołom łódzkim, organizatorem konkursu Oznakę Tysiąclecia Państwa Polskiego.

Zatem podsumowywać zaczynamy; w tym roku przypada 20 rocznica powstania Łódzkiej Wytwórni Filmów Oświatowych. Reżyser, bytowski, dyrektor M. Garlicki oraz realizatorzy mówili o problemach artystycznych i produkcyjnych, o trudnościach i osiągnięciach. Wyprodukowano 1317 filmów oświatowych, z których otrzymano ponad 100 nagród na festiwalach zagranicznych i krajowych. Niemniej jednak trudności są: przede wszystkim przestarzała baza techniczna. Ano, postęp techniczny robi stumilowe kroki. Trzeba i temu sprostać.

Natomiast Biblioteka im. Waryńskiego już nie może pomieścić czytelników i książek. Proszę?

Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi powzięło decyzję rozbudowy biblioteki, zabezpieczając środki i wykonawców. Proszę!

SOBOTA

Sympatyczny i pełen inwencji kierownik Klubu „Pod Żurawiem” na Balutach zdołał skupić wokół klubu utalentowaną w wielu kierunkach młodzież. Szczególnie interesująco zapowiada się grupa poetów. 21 bm. młodzi adepti poezji stanęli w szranki. Konkurs jednego wiersza

przyniósł interesujące propozycje i kilka zupełnie poprawnych wierszy. Jury konkursu było w kłopotcie, gdyż prace zasługujące na wyróżnienie minimalnie różniły się od siebie poziomem. Po wnikliwym rozpatrzeniu tekstów postanowiono:

I nagrodę otrzymała — Aleksandra Syzdiol.

5 równorzędnych wyróżnień — Andrzej Biskupski, Adam Kolsut, Grzegorz Kościński, Mirosław Kuzniak, Dominik Opolski.

Gratulacje organizatorom i laureatom.

NIEDZIELA

Czy państwo wiecie, co to jest „Kpiarz”? Czy widzieliście „Kpiarza”? Nie? Wielka szkoda, duża strata, należy natychmiast pójść i zobaczyć. Pod egidą Łódzkiej Estrady powstał kabaret pn. „Kpiarz”, który występuje w „Kontrasty”.

Program należy uznać za bardzo udany. Jest dostatecznie śmiały i śmiały. Bawiliśmy się serce. Program przygotował reżyserstwo i w nim występuje znany i dowcipny konferansjer Mieczysław Stefański. Sekundują mu dzielnie Sima Sawin, Franciszek Trześciak i Bogdan Wisniewski. Dowcipny akompaniament sprawuje Jerzy Syrewicz.

J. Łoboda

PRZECZYTAJ W TRAMWAJU * PRZECZYTAJ W POCIAGU * PRZECZYTAJ U DENTYSTY *

Czy Beatlesi noszą peruki?

Korespondencja własna z Londynu

Trafalgar Square należy do tych placów Londynu, które przybywają z kontynentu po zostaniu długo w pamięci. Utało się przekonanie, że do zwiedzania — w sensie architektury i urbanistyki — jest Paryż, nie zaś Londyn. Istotnie.

Nie ma w Londynie owej perspektywy wieńczącej Lukiem Triumfalnym. Nie ma owych zadziwiających rozwiązań placów gwiazdzystych. Londyn jest miastem innym. Znajdziecie tam pewną jednostronność calych dzielnic i znajdziecie placów o interesie, czyli mówiąc po polsku, miejsca warte obejrzenia. Rozsiane są po całym ogromnym mieście, powodując, że na pytanie: „dokąd pójść przede wszystkim?” — londyńczyk nie będzie mógł odpowiedzieć tak jak paryżanin: „na Pola Elizejskie”.

Ale właśnie Trafalgar Square jest miejscem Londynu, przez które wiodą wszystkie drogi. To tu stoi słynna kolumna Nelsona. Kiedy zapadnie noc i kiedy reflektory wylaskają z jej czerni sto jacego na czubku wielkiego komandora, wyda się wam, że oto widzicie dowódcę na kapitańskim mostku. A może rozbitka pośród fal? To tu znajdziecie się słynna National Gallery, która się zwiędza dziesięć razy i jeszcze można by zaczynać od początku. To stąd aleja o dostojnym zabudowie, zwana Whitehall, wie dzie prosto do Parlamentu. Na Trafalgar Square spotykają się zakochani, umawiając się przy kamiennych lwach lub przy którychś z fontann.

Nie wiem, czy było tak zawsze, ale dziś dostojny Trafalgar Square jest miejscem nudnawych spotkań ekscentrycznej młodzieży. Po prostu snują się po Trafalgar Square młodzieńcy o długich opadających na ramiona włosach. Niektórzy mają pomalowane usta. Towarzyszacie im dziewczęta także mają spadające na ramiona włosy, dla odmiany zaś ust nie malują. Angielki są wesołe. Kiedy więc tak idą sobie ci młodzi ludzie parami, nie wiadomo, które z nich jest dziewczyna a które chłopakiem. Robią wrażenie abnegatów, jednakże tu i tam zobaczycie dwu-

dziesiątka, którego długie włosy przykryte są cylindrem. Taki elegant nosi frak lub długi żakiet ze spodniami w paski, czarna laseczka z kościaną gałką i czasami monokl w oku.

Czy jest to wszystko tylko poza, czy może taka niesamowita trochę moda? Czy jest w tym może protest przeciwko zastanym konwencjom i konwensansom, szczególnie silnym w społeczeństwie brytyjskim? O modzie trudno chyba mówić, bo wspólnym elementem są, właściwie rzecz biorąc, jedynie długie włosy. Poza tym obowiązuje ekscentryczność. Teraz, kiedy jest ciepło, częściej dziewczęta maszerują bosy. Wydało mi się, że dziś już jest oczywiste, iż zwłaszcza, o którym tu mowa, jest bardzo złożone. Powiadamy na kontynencie, że owe długie włosy wprowadzili Beatlesi. Tak, ale kiedy zabrzmiało mocne uderzenie, istnieł już gniew. Istniał pewien typ bohatera znanego z filmów Tony Richardsona, ze sztuk Osborne'a. Ow młody człowiek był skłócony ze swoim światem, przeciwko któremu miał oczywiście argumenty. Nie nosił jeszcze długich włosów. Gniewni — czy raczej młodzi gniewni — to ruch w literaturze, w filmie i chyba w ogóle w sztuce. Nie za wahałbym się powiedzieć, że Beatlesi są jego częścią składową. Jakkolwiek narodzili się po „miłości i gniewie”. Ruch gniewnych w literaturze zgromadził pisarzy o różnych poglądach estetycznych ale podobnych sobie wielkimi a także zainteresowaniami społecznymi. Wspólne zwłaszcza jest dla nich penetrowanie tzw. niższych warstw społecznych. Z tych to warstw wywodzi się ów gniewny bohater ich utworów.

Z tych samych warstw (working class) wywodzi się Beatlesi. Kiedy zabrzmiało mocne uderzenie, kiedy odezwały się ich głosy, wiadomo było, że będzie to bliskie milionom zwyczajnych chłopców i dziewcząt. I tak też się stało. Beatlesi wystąpili w długich włosach. Besseri serzy mówią dziś, że to były peruki. Bv może. Tak jednak czy owak dzisiaj to już nie są peruki. Długie włosy stały się bowiem czymś więcej niż rekwiizytem estradowym. Zaczęły je nosić masy młodzieży. Peruki na głowach Beatlesów byłyby dzisiaj szalbierstwem.

Beatlesi śniąwa bardzo ładnie. Dowodem tego jest fakt, że piosenek ich słucha się z prawdziwą przyjemnością na całym świecie. Słucha się z płyt i przez radio, w telewizji i w kinie. Big-beat stał się określonym kierunkiem w muzyce. Określona forma ekspresji. Nie nas w końcu — jeśli mamy więcej niż dwadzieścia i kilka lat — nie obchodzi, czy zespół grający przywołuje zewnątrz nie Beatlesów, czy też nie. Chcemy słuchać mocnego uderzenia. Nawiasem wspomnę, że winno się mówić „duże uderzenie”, nie zaś „mocne uderzenie”. Ale nie o to cho-

dzi. Słowniki polsko-angielskie podają, że big to również rozumiany a nawet ważny. Zresztą może to coś znaczyć i w tym wypadku? Ci, którzy naśladowali Beatlesów, ubierając się i czesząc jak oni, czują się pepeklem świata. Jak to dwudziestolatk!

Wydało mi się, że dawno już żaden zespół muzyczny, żadna gwiazda filmowa, żaden piosenkarz lub — czy ja wiem — żaden sportowiec nie zrobili na młodzieży takiego wrażenia, jak właśnie owi angielscy chłopcy, śpiewający w głośnym filmie, wyświetlanym w Polsce pod tytułem „Beatles”, piosenkę o wieczorze po pracowitym dniu. Nikt nie zrobił równocześnie takiego szumu i — nie bójmy się tego słowa — zamieszania wśród starszych. Beatlesi są tak popularni, tak o nich głośno na świecie, że zdecydowano się udekorować chłopców najwyższym brytyjskim odznaczeniem państwowym. Kiedy królowa Elżbieta II dokonywała tego aktu, ich lordowskie moście nie posiadały się z oburzenia. Uważały to za szokujący i — co więcej — niebezpieczny precedens. Czy istotnie był to precedens? Potraktowano chłopców jak bohaterów dnia.

We wspomnianym filmie jest scena, pokazująca rozpoczęcie koncertu. Na ekranie setki młodych zgromadzonych w sali. Gdy na estradę wychodzą Beatlesi, sala zaczyna na wyc. Marynarki leca w górę. Nasi bohaterowie mogliby nie grać i nie śpiewać. Mogliby tylko poruszać ustami. W sali bowiem, gdzie występuje, panuje nieośmieszony gwar. Nikt nie słyszy prócz własnego ryku. A więc nie chodzi już o wysłuchanie koncertu. Cała sprawa ma zu pełnie inne wymiary. Mocne uderzenie jest po obu stronach teatralnej rampy. Na estradzie i na widowni. Mocne uderzenie jest własnością wszystkich. W co ci wszyscy uderzają? Myśle, że m. in. w konwensans, w mieszczanski porządek rzeczy. W zgniłość i ziewanie starszych. Pisać to mam na uwadze nie tylko oczywiście Wielka Brytania. Długie czuopy szumią nie tylko nad Tamizą.

Bylibyśmy jednak w błędzie, gdybyśmy nie widzieli również humorystycznego aspektu zjawiska. Dla ilustracji opowiem zdarzenie, które obserwowałem na Piccadilly Circus, a więc w samym sercu Londynu, nie dalej niż sto jardów od Trafalgar Square. W wirtuozym kinie London Pavilion dawano tego wieczora premierę nowego filmu Beatlesów pt. „Help” („Ratunku”). Jest to film z ośmioma bodajże nowymi piosenkami ulubieńców młodzieży, śpiewanymi bardzo przyjemnie. Jest to równocześnie film, w którym Beatlesi prezentują się jako całkiem dorzecznymi artyści ekranu. Na premie-

rze oczywiście byli oni obecni. Przyszli w towarzystwie młodych i ładnych dziewczyn, z których bodajże dwie są ich żonami. A może żonami są trzy? Nie pisałbym o tym w ogóle, ale w Londynie młodzi ludzie opowiadają z niejaka dumą, że Beatlesi bynajmniej się nie starzeją i że żeniączka nie spowodowała u żadnego z nich „podłatwienia”. Żony zostały więc publicznie zaakceptowane. Jest to ciekawostka, na którą zwracam uwagę, bowiem zdarzyło się w poprzednich latach w Wielkiej Brytanii, że żeniączka popularnego jazzmana czy piosenkarza gniewała młodzież. Przeształ on by popularny. Wchodził w wiek meski (wiek kleski!). Przedmiotem powszechnego zainteresowania stawał się jakiś jego następcą.

Działo się zatem na premierze filmu „Help”. A właściwie po premierze. Kiedy bowiem zaczęliśmy opuszczać rozjarzony światłami wstębul, okazało się, że wyjść na ulicę to nie takie proste. Wprawdzie wyjście strzeżone było przez policję, jednakże ogromny tłum zebrany przed kinem ciągle zmniejszał wolną przestrzeń. Do kulminacji doszło, gdy u wyjścia ukazał się Beatlesi. Nastąpiło straszliwe wycie, zaklaskały tysiące dtoni. Porzez te wrzawy stychać było niski rozhisteryzowanych dziewcząt. Poranna prasa następnego dnia donosiła: wczoraj wieczorem 250 policjantów londyńskich utrzymywało po-

rzątek na Piccadilly Circus, 7 dziewczyn odwoziły karetki pogotowia do pobliskich szpitali. Zemdlały z wrażenia ujrząwszy Beatlesów”.

Długo jeszcze tego późnego wieczora gęsty tłum falował na Piccadilly Circus. Kiedy przyjrzałem się mu bliżej, zauważyłem, że składa się nie tylko z młodzieży. Ludzie starsi mieli również rozognione oczy co dwudziestolatki. Na tyłach tego tłumy, potem zaś, kiedy się już trochę rozstąpił, także pośród niego, kreślił się przedsiębiorczy sprzedawca ulicznych. Oferowali portrety Beatlesów. Nie ich zdjęcia wielkości wiodokówek. Oferowali portrety. Były to wielkie portrety do wieszania na ścianie — tak jak się wieszają np. do stojników państwowych. Portrety były barwne. Niektóre z nich przedstawiały uśmiech nietych owłosieńców razem, niektóre zaś pojedynczo.

Pomyślałem sobie wtedy: dlaczego nie sprzedają „Beatles-book”? Chyba dlatego, że zainteresowanie miesięcznikiem jest wśród tego, trochę nieprzytomnego tłumy o wiele mniejsze niż portretami, których nie trzeba czytać, aad którym nie trzeba myśleć. Jak mnie potem poinformowano, zainteresowanie miesięcznikiem poświęconym Beatlesom i mocnemu uderzeniu, choć niemałe, nie jest jednak tak duże, jak by można oczekiwać po owych dzikich wrzaskach, po zbiorowej psychozie i po tym wszystkim, co otacza ów cały big-beat. A

więc i na tym przykładzie można się przekonać, że sprawa jest wielopłaszczyznowa, że wykracza zdecydowanie poza estradę. Ważne jednak jest, że właśnie na estradzie się zrodziła, że nieodłącznym atrybutem całego beatlesowego ruchu jest piosenka. Ładna melodyjna piosenka, śpiewana bezpretensjonalnie, rytmicznie i czystym głosem. Piosenka, którą lubią — więcej; którą kochają — miliony młodych. Beatlesomania nie polega na robieniu drak. Big-beat to nie jest mocne uderzenie w szczękę, I to jest godne prawdziwej aprobaty.

Bo w ogóle to w życiu młodzieży bywa różnie. Do zadumy, nie zawsze może wesołej, skłania np. lektura książki Austriaka Ernsta Fischera pt. „Młode pokolenie zachodu”. W Wielkiej Brytanii znane są różne bandy młodych szukających draki. Mają nawet swoje nazwy. Na przykład m o d s to są tacy, którzy lubią drakę i jeżdżą na skuterach, rockers zaś preferują motocykle. Z Beatlesów biorą manierę noszenia długich włosów. Ale to właśnie jest najgłupsze.

Jesteśmy świadkami nowej formy bulwersacji i fascynacji młodych. Jak widzieliśmy, nie wolno tego oceniać pochopnie i jednostronnie. Mnie się osobście wydaje, że jest wszystko w porządku. „Ratunku” — to tylko tytuł nowego filmu Beatlesów. Oby dotarł i do Polski.

BOLESŁAW BARTOSZEWICZ



PRZECZYTAJ W TRAMWAJU * PRZECZYTAJ W POCIAGU * PRZECZYTAJ U DENTYSTY *



Lewym okiem

O RENCISTACH I ŁOWIENIU ROBACZKÓW

Bardzo piękny jest park w Julianowie. Jadąc tam ze śródmieścia Łodzi dobrze jest zamknąć oczy gdzieś około Bałuckiego Rynku, nie patrzeć na odrażającą szpetotę ulicy Zgierskiej i jej wżutkich przecznicy, na łyse i brudne trawniczki pomiędzy drewniakami, gdzie otuli mężczyźni zdejmują buty, rozwijają tasemki długich — mimo upału — kalesonów i zasypiają twarzami w dół, narazicie na ziemi, jak kiedyś, w ojcowej wiejskiej zagrodzie.

Potem otwiera się oczy — i nagle jesteś w pięknie skomponowanym, przepysznym zielonym krajobrazie. „O zieleni można nieskończenie”. Nic tak nie odpręża i nie uspokaja, jak znalezienie się pośród zielonych drzew, trawy, krzaków, gdzie wszystko jest elementarne, prawdziwe, bezinteresotne. Łabędź ma wlecznie uśmiech-

nięty wyraz twarzy, woda to marszczy się, to wygląda, wróble podskakują po alejkach, głąbiej wśród drzew popiskują różne ptasie muzykanty.

Przez chwilę jest bardzo przyjemnie. Niestety, tranzystorowe radia staniały, dyndają na brzuchach nastolatków, ochryple wrzaski sprawozdawców, zuarowane bębny, wycie modnych niby — śpiewaczek dogania nas i tu. Nastolatki ani tego nie słuchają, ani nie słyszą. Po prostu nieustanny hałas stał się już dla wielu ludzi — także i poważnych ojców rodzin — niezbędny, spokój ich niepokoi, napawa lękiem, spokój jest nienormalny, normalna jest szarpanina, wrzask, pośpiech, napięcie.

Jeszcze tylko renciści wołają oprzeć się na laskach i rozmawiać z wróblami. Oczywiście, renciści siedzą tylko na skraju parku, głąbiej nie ryzykują. Nogi nie noszą ich już tak sprawnie, dobrze jest od czasu do czasu przysiąść. A tam dalej przysiąść nie można. Nie ma ławek?

Są ławki. Solidne, wkopane w ziemię. Tylko że z każdej wyrwana po trzy — cztery deski i siadać na nich mogą tylko przelotne żurawie. Nie wiem, kto powyrwał, może ci chłopcy, tarzający się ze swymi dziewczynami po trawie w co zaciszniejszych zakątkach, może zakochani odprawiający swe misteria, którym nie mamy im za złe, przeciwnie — zazdrościmy trochę; czy to oni łamiąc ławki zabezpieczają się w ten sposób przed zbędnym wzrokiem staruszków, mających za wiele czasu?

Staruszkowie na trawie nie siadają, za nisko i za chłodno. Jeśli więc popusujemy ławki — zlikwidujemy staruszków w pięknym julianowskim parku.

W pięknym julianowskim parku stoi nad stawem tablica: „Kąpiel w stawie i łapanie robaczek zabronione”. Ktoś postawił tablicę i poszedł. Pod tablicą młodzieńcy układają w kostkę ubrania i z krzykiem skaczą do wody. Kto dogoni łabędzia? Widownia na brzegu dopinguje zawodników, ale łabędź wygrzywa: uśmiecha się jak zwykle, nie widać po nim żadnego wysiłku, a wyprzedza sapiących i parszczących młodzieńców o dziesiątek metrów. Nikt nie pamięta o zakazie, oburzają się tylko malcy, którzy z stateczkami przyszli łapać robaczki: urzaskliwi pływacy zmaczają wodę i robaczek nie, będzie.

Zakaz na pewno czymś był uzasadniony. Jeśli nie był — zabierzmy tablicę. Jeśli był — jeśli był, to wszystko w porządku. Wszystkie przepisy w naszym kraju istnieją po to, żeby się nimi nie przejmować. Najwyżej gdyby się ktoś utopił, albo rozpruł brzuch o kawał blachy leżącej na dnie, sam byłby sobie winien. A dozorca — jeśli taki etat istnieje — siedziałby dalej gdzieś głęboko w schronie, nie narażając się na wiadomą reakcję łamaczy przepisów i licznie zgromadzonej publiczności. —

CWIEK